Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 49 (1733) 8–14 grudnia 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Zmieleni wiatrakami

str. 5

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 098835538c

RĄBANKA POWYBORCZA

IBRiS dla „Rzeczpospolitej": PiS – 31,5 proc.; PO – 27 proc.; Polska 2050 – 10,3 proc.; Lewica – 9,3 proc.; Konfederacja – 9 proc.; PSL – 7,3 proc. Obiecywana frekwencja – 65,7 proc. Dla Onetu IBRiS zbadał zaufanie do polityków. Prezydent Duda spadł z podium, wykopany stamtąd brutalnie przez wschodzącą gwiazdę Szymona Hołowni. Marszałek sejmu jest pierwszy: 49 proc. zaufania, 38,7 proc. nieufności. Za nim znalazł się Rafał Trzaskowski: 47 proc. na 41,1 proc. Trzeci jest – to niejaka niespodzianka – Donald Tusk: 43 proc. na 45,6 proc. Kosiniak-Kamysz: 42,3 proc. na 42,2 proc. I dopiero za nimi wlecze się głowa państwa z wynikiem 39 proc. do 52,5 proc. Dobry instynkt Polaków przejawia się w rankingu nieufności, któremu przoduje Zbigniew Ziobro (72,7 proc.) przed Jarosławem Kaczyńskim (68 proc.), Krzysztofem Bosakiem (64,2 proc.), Mateuszem Morawieckim (58,2 proc.) oraz Sławomirem Mentzenem (57,8 proc.). Jakże miło widzieć, że rodacy wreszcie zrozumieli, że prawactwu ufać nie można.

Wraz z nieufnością do prawicy rośnie wiara w jasną przyszłość: według sondażu CBOS liczba myślących, że jest źle, a będzie gorzej, zmniejszyła się o 13 pkt proc., a tych przeciwnego zdania – wzrosła o 5 pkt proc. W efekcie optymistów i pesymistów jest tyle samo: po 38 proc. Jeśli chodzi o priorytety, to – jak zbadał ośrodek United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej" i radia RMF FM – jest zamówienie na odblokowanie środków z KPO (48,8 proc.), zreformowanie systemu ochrony zdrowia (43 proc.) oraz wymiaru sprawiedliwości (38,3 proc.). Szybkiego rozliczenia PiS domaga się zaledwie co piąty badany, choć 54 proc. jest za postawieniem Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu.

Adam Glapiński nie chce stawać przed TS. Poskarżył się prezesicy Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde, która odpowiedziała mu cokolwiek enigmatycznie: „W przypadku, gdyby posłowie byłych partii opozycyjnych rzeczywiście złożyli wniosek wstępny do sejmu, wszelkie środki wpływające na możliwość wykonywania przez Pana obowiązków Prezesa NBP mogą, jeśli nie będą zgodne z prawem, wpłynąć na Pana niezależność", doradzając Glapińskiemu, iż „może skierować taką uchwałę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i poprosić o ocenę jej zgodności z prawem". Interpretacje listu p. Lagarde są różne: Glapiński mówi, że Lagarde obiecała go bronić, a antyglapińczycy – że mu powiedziała, żeby się w dupę pocałował. Czas pokaże.

Lud żyje sejmem. Uboczny efekt tego jest taki, że strona internetowa sejmu się zawiesza, albowiem nigdy nie było na niej takiego ruchu. Sejm żył w tym tygodniu wiatrakami wrzuconymi do projektu ustawy o zamrożeniu cen energii, co wprost nieprawdopodobnie uradowało PiS, które oskarżyło nadchodzącą władzę o łapówki od lobbystów obcego kapitału. W przyszłym tygodniu będzie żyć rządem Donalda Tuska, co jest dla nowej koalicji dobrą wiadomością, albowiem ustawa wiatrakowa wyszła średnio. Popularność sejmu, oglądanego w telewizji i internecie przez miliony obywateli, zaowocowała ciekawym obyczajem: posłowie rozmawiający w ławach poselskich zasłaniają usta przed kamerami, co rozkosznie przypomina scenę z filmu gangsterskiego „Kasyno", kiedy Joe Pesci i Frank Vincent rozmawiają na ulicy. Jeden gryzie wykałaczkę, a drugi pali papierosa, ale obydwaj robią to tak, żeby nie było widać ich ust, bo „federalni sprowadzili specjalistów od czytania z ruchu warg".

Na razie mamy rząd dwutygodniowy. Według sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 58 proc. Polaków nie potrafi wymienić nazwiska ani jednego z nowych ministrów. Z ludu wyróżnia się Hołownia, który zasiadając w fotelu marszałkowskim, wyciągnął kartkę z buźkami polityków: „To ściąga, dzięki której dowiem się, czym zajmują się nowi ministrowie" – orzekł szczerze. Z innych inicjatyw Hołowni warto wymienić zreformowanie sposobu wybierania premiera: zamiast imiennych kart papierowych będą teraz imienne karty elektroniczne, jak w przypadku wszystkich innych głosowań, gdyż dotychczas „wybieraliśmy premiera jak papieża, tylko białego dymu brakowało". Hołownia planuje też wigilię dla bezdomnych oraz „tymczasowe przedszkole posiedzeniowe" dla dzieci parlamentarzystów i pracowników, które postanowił urządzić w sejmie. Ludzki pan.

Sprawiedliwość dziejowa nadciąga. Komisja ustawodawcza wzięła się za powoływanie komisji śledczych – hurtem, wszystkich trzech. Jako pierwsza przegłosowana została komisja ds. wyborów kopertowych. Tydzień wcześniej sąd stwierdził, że rząd nie złamał w tej sprawie prawa. Monika Olejnik zapytała Roberta Biedronia, czy nowa większość liczy się z wyrokiem sądu. „Pani redaktor – odparł półszef Lewicy – nie możemy przejść do porządku dziennego wobec całego zła, które PiS zrobiło przez ostatnie osiem lat, bo jeżeli ujdzie mu to na sucho, to wróci Kaczyński i nas zje". Po niejakim namyśle Biedroń dodał, że Morawiecki ma dość innych grzechów na sumieniu. Koncept: „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie" nie budzi najfortunniejszych skojarzeń.

Nowa większość odwołała pisowskich członków komisji do zbadania wpływów rosyjskich. Dwie godziny wcześniej komisja opublikowała raport, z którego wynika, że Tusk, Siemoniak i Sienkiewicz nie powinni pełnić żadnych funkcji publicznych, albowiem za ich czasów Służba Kontrwywiadu Wojskowego nielegalnie współpracowała z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa. W poczet oficerów FSB, z którymi polscy kontrwywiadowcy mieli szemrane kontakty, komisja zaliczyła dwóch *attaché* ambasady Ukrainy, jednego ze Słowacji i jednego z Chorwacji, ale ten błąd jest usprawiedliwiony, bo wszyscy mają cokolwiek rusko brzmiące nazwiska. Jarosław Kaczyński zapytany, czy nie jest rozczarowany faktem, że prezydent Duda nie weźmie pod uwagę raportu komisji i nie zablokuje powołania nowego rządu, odrzekł powściągliwie: „Ja nie oceniam pana prezydenta".

Z URNY URBANA

W felietonie z grudnia 2015 r., kiedy PiS obejmowało władzę, Urban roztoczył katastroficzną wizję kaczych rządów. Przypominamy go teraz, ciesząc się, że najczarniejszy scenariusz się nie sprawdził.

Bóg, humor i ojczyzna

Rewolucja komunistyczna, oto co okaże się niezbędne. Już za dwa lata innym sposobem będą nie do zniesienia nowe władze i ten ustrój Polski, który budują. Niełatwo przyjdzie czerwony przewrót przygotować i wywołać. Po pierwsze, od 60 lat brakuje nam bolszewików. Po drugie, kontrkontrrewolucja nie dotknie prywatnej własności, gdyż PiS, rządząc, naruszy ją tylko w wybranych przez siebie przypadkach. Po trzecie, Macierewicz jako szef MON zajmie się głównie organizowaniem niezawodowych reakcyjno-nacjonalistycznych sił zbrojnych. Są one przydatne wyłącznie do wojny domowej. W razie dokonania antypisowskiego przewrotu wystąpią jako krwawa partyzantka Narodowe Siły Zbrojne.

Piszę te wesołe słowa w chwili, gdy trwa bardzo ważna ustrojowo przepychanka o Trybunał Konstytucyjny. Jednak z chwilą, gdy to wydanie „NIE" ukaże się na rynku, bezsilne odpieranie skoku PiS na państwo polskie ogarnie już różne inne fronty.

Kaczyści nie tają większości zamiarów. Po trybunale zamierzają opanować całe sądownictwo i prokuraturę. Po okupowaniu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i przejęciu państwowych środków przekazu ruszą na prywatne.

Wobec komercyjnych stacji telewizyjnych i radiowych będą to represje koncesyjne i pieniężne. Nielubianą prasę zaczną wykańczać, podcinając w różny sposób podstawy jej ekonomicznej egzystencji i stosując nacisk na kolporterów. Wobec internetu PiS zostanie prawie bezradny. Przewidziane są uderzenia punktowe mające postać represji karnych za znieważanie władz, hejty, brzydkie wyrazy i tym podobne. Służby specjalne będą już wtedy wyczyszczone i podbite, policja także. Zdobywanie obejmie samorządy lokalne i zawodowe. Przejęcie władzy w województwach, miastach i gminach przyniesie PiS-owi uzależnienie od jego władzy milionów ludzi. Da im się wybór: wolisz być głodny czy kolaborować.

Polskę odgrodzi się wszechogarniającym murem od Rosji, a stosunki z Niemcami ograniczy do korzystnego dla nas handlu. Polityka zagraniczna PiS już jest antyeuropejska. Gdy Unia przestanie obsypywać nasz kraj pieniędzmi, stanie się ona Unii wroga politycznie, ideologicznie i prawnie. Szefa Unii, Polaka Tuska, chcą postawić przed polskim sądem za „zamach" smoleński.

Nieograniczona niczym niezawisłość Rzeczpospolitej stanowi podstawowy cel nacjonalistów. Z przyjemnością godzą się oni na kraj zaściankowy, wsteczny, odgrodzony od świata, ale własny pana Kaczyńskiego, jego zwolenników, kleru i kukizowców. Prawicowi fanatycy uformują warstwę rządzącą.

PiS, mówiąc wciąż o modernizacji gospodarki, uruchomi mechanizm gwarantujący zacofanie. Przykładem popieranie chłopskich gospodarstw rodzinnych, a nie farm dochodowych. Kaczyści zastosują protekcjonizm wobec polskiego handlu oraz takiejż produkcji, w tym obronnej. Rząd będzie dopłacać do kopania węgla i wielu innych działów gospodarki.

Polska stanie się bezkonkurencyjna, to znaczy, że polską gospodarkę pozbawi się konkurencji, co samo przez się skazuje na zacofanie i stały regres. Polski czołg ogłosi się najlepszym, bo polskim i dającym pracę polskim robotnikom. Nauczyć go jechać i strzelać to już drugorzędne zadanie.

Planowany jest wszechstronny i wszechobecny podbój umysłów. Polityka historyczna zapewni wyłączność narodowemu samozachwytowi. Będziemy siebie oglądać jako cudni, bohaterscy, prześladowani za niewinność, pozbawieni skaz, błędów czy idiotyzmów, aż od czasów Mieszka I albo Popiela. Wygramy teraz nareszcie wszystkie przegrane powstania. Zmusimy Niemcy do płacenia nam za wojny z I połowy XX w. Już usłyszeliśmy, że Polska nie przyjmie islamskich uchodźców i niech za nas zrobi to Berlin, bo hitlerowcy wymordowali 40 tysięcy osób w dzielnicy Wola w Warszawie jesienią 1944 r. Dlaczego akurat 40 tysięcy z ponad 4,5 milionów tak boli PiS, tego nie wiadomo. Kaczyści nie chcą pamiętać, że powstanie warszawskie (ich ulubione) wywołali polscy generałowie i politycy, oni więc są winni ryzyka, które owszem, ponieśliśmy, nie zaś Angela Merkel. My zaś Bóg, honor i łatwizna. 10 kwietnia wybierać się będzie Miss Płaczu.

PiS załatwi się z teatrami, filmami, a przede wszystkim wytresuje narodowo uczniów. Polski heroizm i pokrzepienie serc oraz wątroby, Sienkiewicz i Różewicz zastąpią Schulza, Gombrowicza, Szymborską. „Kamienie na szaniec" ogłosi się arcydziełem wszech czasów, bo uzasadnia rzucanie umysłów młodzieży na szaniec narodowy – i temu właśnie szkolnictwo służyć będzie. Czarny humor zapewni zaś ruchowa i słowna ekspresja posłanki Pawłowicz. Poza nasilonymi lekcjami religii i rekolekcjami młodzież zajmie się pielgrzymowaniem do muzeów martyrologii i pod pomniki.

To jeszcze nie wszystkie z góry zapowiedziane punkty programu okupacji Polski, a przecież ukoronuje je obalenie konstytucji i uchwalenie takiej, która w praktyce w ogóle uniemożliwi oderwanie władzy od Kaczyńskiego i jego Dudy.

Z wyłożonych powodów potrzebna będzie rewolucja – i to tak radykalna, jak komunistyczna. Komunizm co prawda nie ma u nas wzięcia, został wygaszony i obrzydzony. Ja jednak jako jego były poplecznik wskazać chcę na wielką zaletę PRL: ewoluowaliśmy od zbrodni prawie stale w stronę liberalizacji, tylko chwilami się cofając. Reguły faszyzmu są odwrotne – on tylko olbrzymieje, wygaszając wszystko, co nim nie jest.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Tomasz Sakiewicz ogłosił zbiórkę na dziennikarzy prześladowanych procesami. Pieniądze ze zbiórki zostaną wykorzystane tradycyjnie na bilet do Argentyny.

Poczta Polska tłumaczy się ze sprzedawania **podróbek torebek Gucci.** Niesłusznie, nic lepiej nie pasuje do „Potraw z ziemniaków" siostry Marii.

Mateusz Morawiecki ubolewa, że z sejmu zrobiło się show. Konkretnie jest to show „Pinokio na lodzie".

Szymon Hołownia chce obniżenia wieku wyborczego do szesnastego roku życia. Chyba widzi się w roli superniani.

Małopolska skarbówka zarekwirowała **18 ton bakalii z robakami.** Teraz się okaże, że te grudki w makowcu to nie były rodzynki.

Z okazji Barbórki **Beata Szydło** podziękowała górnikom za ich ciężką pracę. Jak pamiętamy z sejmu, Beata Szydło zna się na fedrowaniu.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

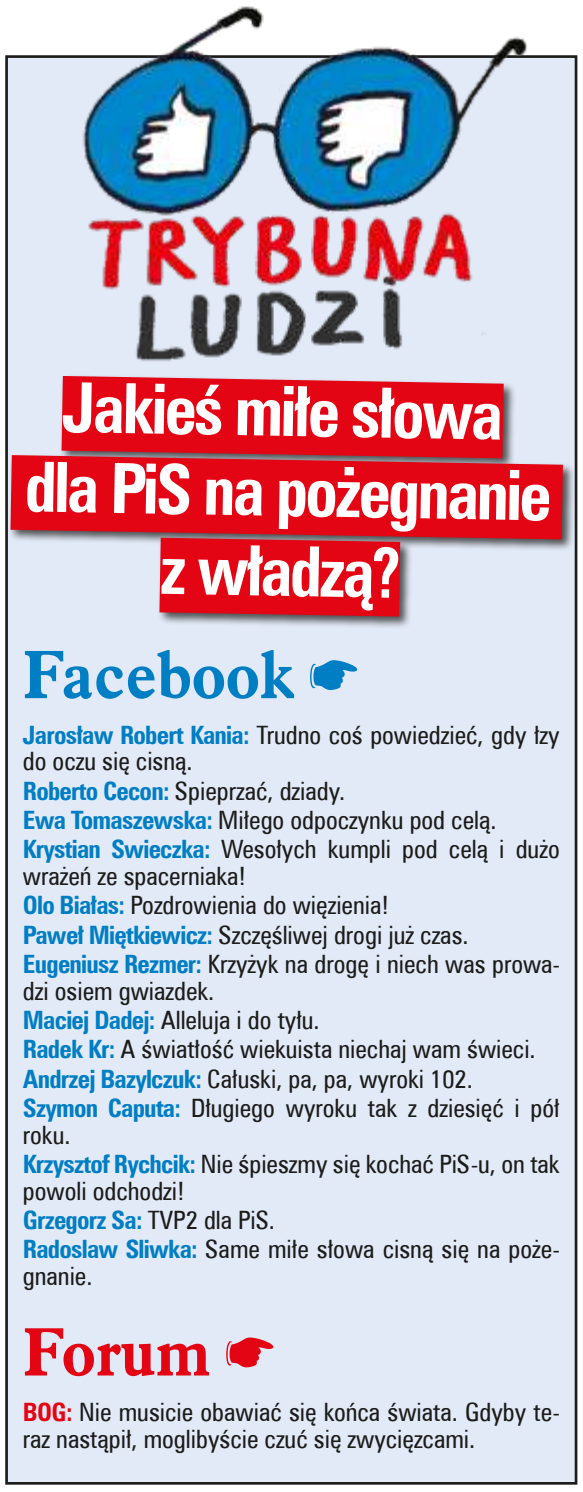

eprasa.pl 098835538c

Kto i po co gra Orlenem?

Gównoburza nad Płockiem

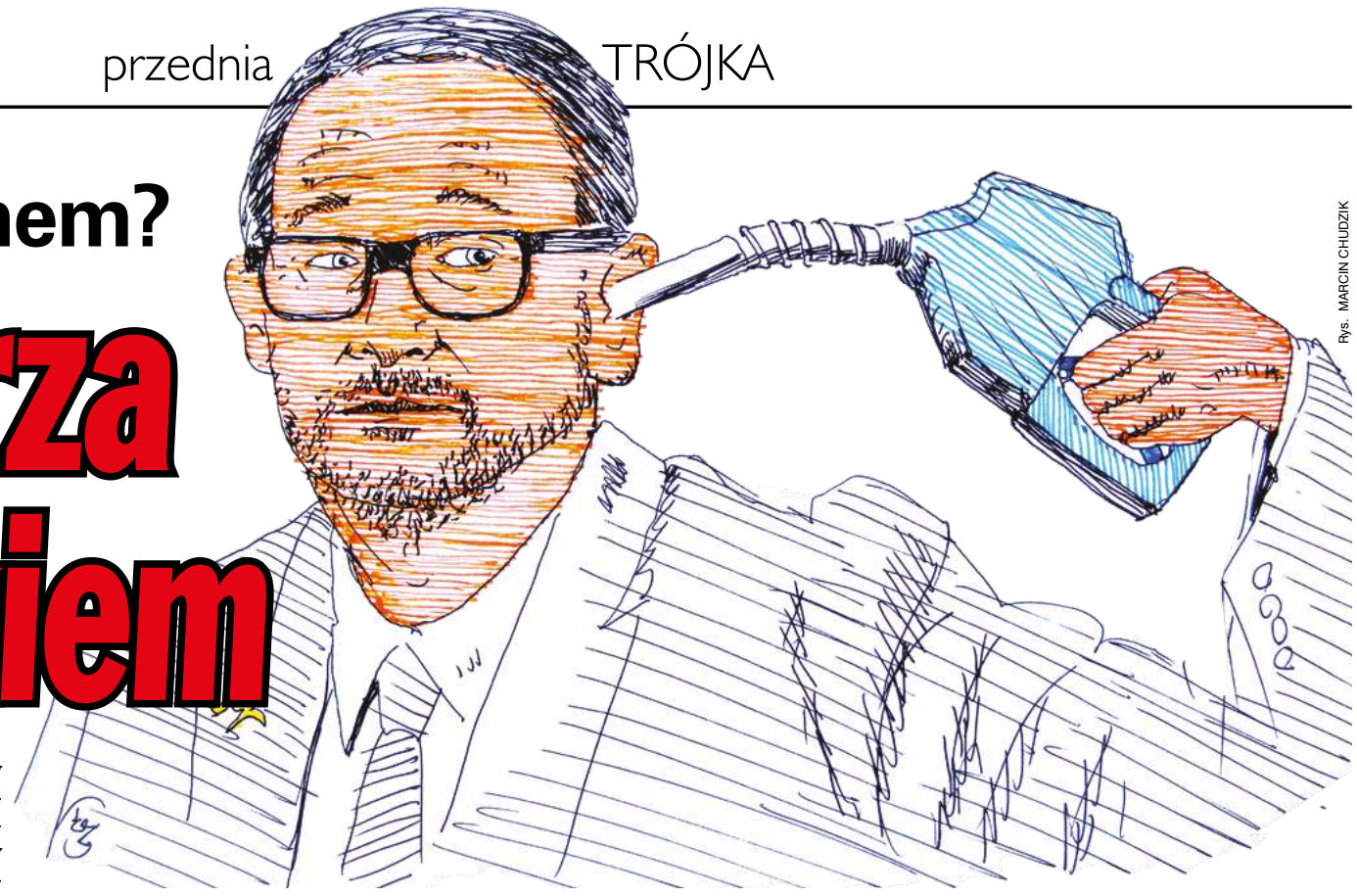

Rys. MARCIN CHUDZIK

Jak zapewne pamiętacie, w minionym tygodniu mieliśmy straszliwą narodową tragedię wysmażoną przez posłów Koalicji Obywatelskiej (zwanych niekiedy kodomitami, nie mylić z kodziarzami), którzy zadali zdradziecki cios w nasze dobro narodowe: Polski Koncern Naftowy Orlen z Płocka.

Case study

„Zawał na Orlenie!", „Orlen krwawi!", „Wartość rynkowa Orlenu runęła o 7 mld zł!", „Panika na Orlen", „Z Orlenu wyparowało 6,5 mld" – epatowały pracowników stacji benzynowych portale finansowe i te dla przygłupich (mogą być to jedne i te same).

Orły na pylonach stacji benzynowych płakały krwawymi łzami. Ich pracownicy, wkładając do dziury w bule parówę, odczuwali to tak, jakby sami byli gwałceni analnie. W Płocku na znak żałoby wygaszono światła. Wierni obstalowali msze święte w intencji dogorywającego ojca i matki, żywiciela wielu pokoleń tego miasta, z którym wiązana jest tu wszelka nadzieja. Maciej Naskręt, którego jakiś idiota przyjął do Polskiego Radia na dziennikarza, wyliczał, że Polska straciła: trzy przekopy Mierzei Wiślanej, 40 proc. trzynastej emerytury, cztery zapory na granicy z Białorusią, dziewięć budżetów sejmu.

Nieobojętny był też prezes Obajtek, który napisał do prezydenta Dudy, aby ten również nie pozostał w obojętności: „W związku z działaniami posłów KO i Polski 2050, wymierzonymi w stabilność finansową ORLEN-u, skierowałem do Pana Prezydenta list z prośbą o wnikliwą analizę".

W zastępstwie głowy państwa

Przeprowadziliśmy wnikliwą analizę, wyręczając w tym prezydenta. Jak nam się zdaje, niepotrzebnie. Wszystko lipa.

Sekwencja zdarzeń jest taka. Generalnie PKN Orlen, który teoretycznie należy do nas wszystkich (w 49,9 proc.) jako beneficjentów skarbu państwa, w ostatnim okresie zarobił podejrzanie dużo. Po trzech kwartałach 17,1 mld zł netto. Dwa razy więcej niż w poprzednim, 2022 r. Stąd przypuszczenie, że dorabiał się na naszym nieszczęściu. Płaciliśmy za paliwa za dużo.

Koalicja doszła do wniosku, że aby za chwilę spółki państwowe rządzone nadal przez PiS nie podniosły cen prądu i gazu o 80 proc., trzeba je opłacić. Potrzebne są zatem pieniądze. Te, zgodnie z przygotowanym przez KO projektem ustawy, pochodzić by miały ze skarbca Orlenu. Według szacunków ustawa, gdyby weszła w życie, skutkowałaby pozbawieniem Orlenu 15 mld zł.

Ludzie w czerwonych szelkach

Na ów projekt, jak to się mówi, zareagowała Giełda Papierów Wartościowych, deprecjonując rzekomo akcje Orlenu o 7,9 proc. To hipotetycznie przekłada się na wspomniane na początku miliardy strat.

Mówiąc potocznie, jest to półprawda, a nawet ćwierćprawda. Szacując matematycznie, jest to nieprawda w 99 proc., czyli prawie całe kłamstwo.

Informacje z giełdy zresztą w większości przypadków nie są prawdziwe. Nazwać by je trzeba raczej opiniami wynikłymi z dowolnych interpretacji tak zwanych ekspertów, które dotyczyć mogą wszystkiego. Ze spółki Orlen nic nie wyparowało i nikt niczego nie stracił.

PKN Orlen wyewoluował z Centrali Produktów Naftowych (CPN) oraz Petrochemii Płock, które zostały połączone w jedną spółkę. Spółka ta wyemitowała między rokiem 1999 a 2022 1 160 942 049 (1 miliard 160 milionów 942 tysiące 49) akcji o cenie początkowej 1,25 zł. Pakiet kontrolny 50 proc. pozostał w spółce i należy do skarbu państwa. Pozostałe akcje sprzedano na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie funduszom inwestycyjnym, emerytalnym, ubezpieczalniom i bankom. Na pierwszej sesji giełdowej w listopadzie 1999 roku, kiedy następowało zasadnicze przewłaszczenie, owe walory po 1,25 zł kupowane były po 22 zł.

Nigdy potem nie było takiego ruchu na akcjach Orlenu. Uważane są one za dobre papiery inwestycyjne. Rzetelny emitent, prowadzący stabilny biznes w zakresie monopolu naturalnego, wypłacający satysfakcjonującą dywidendę. Struktura akcjonariatu przez ponad 20 lat niewiele się zmieniła. Inwestorzy są instytucjonalni, nie ma prywatnych. Okazjonalne transakcje na akcjach Orlenu wywindowały ich wirtualną wartość nawet do 94 zł.

Jeden procent

No i tu się okazuje, że w rezultacie tej informacji z ubiegłego wtorku o domiarze podatkowym któryś z inwestorów zwariował. Pozbywa się pakietu akcji, który stanowi co najwyżej 1,06 proc. wszystkich akcji spółki po 58,47 zł. Nawet to jest nie do końca pewne. W ową czarną środę na akcjach Orlenu stanowiących 1 proc. dokonano 250 transakcji. Nie jest wykluczone, że były to te same akcje wymieniane między tymi samymi podmiotami.

Akcje, które zostały przez kogoś sprzedane w cenie o ponad 7,9 proc. niższej niż z dnia poprzedniego, stanowiły zatem jakiś promil wszystkich akcji koncernu. Jest to wartość pomijalna w kontekście tak zwanej analizy fundamentalnej, tudzież księgowej wartości PKN Orlen. Nie ma też żadnego znaczenia w kontekście obrotu giełdowego dlatego, że akcje tak naprawdę uzyskują wartość, kiedy ktoś je chce sprzedać, a transakcja zostaje zawarta.

Krytyczna transakcja, z której zrobiono hecę o rozmiarach zamachu stanu, odnotowana została w środę po południu, tuż przed zamknięciem giełdy. Następnego dnia znikome transakcje na akcjach Orlenu przywróciły wartość sprzed 48 godzin na ponad 64 zł.

No, ale z logicznego, a co najważniejsze, publicystycznego punktu widzenia wszystko się zgadza. Skoro 0,5 proc. akcji chodziło po 58,47 zł, a nie po ponad 60 zł, jak to było poprzedniego dnia, no to zapewne pozostałe 99,5 proc. jest tyle warte, dlatego przyjemnie jest ogłosić katastrofę.

Ktoś, kto wpadł na ten pomysł, obracając 0,5 proc. akcji, zapewne nie wierzył, żeby takim wolumenem wstrząsnąć giełdą. Natomiast był pewien, że wstrząśnie dziennikarzami, bo ci lubią wstrząsać czytelnikami, co się zresztą udało. Wrażenie wśród nawet inteligentnych ludzi jest takie, że koalicja zrzuciła na Płock bombę atomową.

Z głupoty zapewne, co oczywiście w obecnej labilnej sytuacji, kiedy PiS chce utrzymać władzę za każdą cenę, rzekoma katastrofa Orlenu, postrzegana przecież jako rzeczywista, mogłaby mieć kapitalne znaczenie w kontekście prawdopodobnych kolejnych wyborów parlamentarnych.

Tezy trzy

Aby stwierdzić, kto jest odpowiedzialny za to zamieszanie i dziwaczne ceny jednego procenta akcji Orlenu przez 20 minut, trzeba byłoby ustalić, kto chciał sprzedać, a kto kupił. Kupujący jest mniej winny, ponieważ już następnego dnia wyszedł na światłego inwestora (potencjalnie zarobił), a sprzedający na frajera (potencjalnie stracił). W tej sprawie uruchomiono specjalną komisję Ministerstwa Finansów, co jest, zdaje się, nieco nierozsądne, gdyż może dać niechciane przez rząd Morawieckiego wyniki.

Możliwości są trzy. Aby wywołać niesmaczne w społeczeństwie wrażenia, obecny rząd wymógł na którymś z zależnych od niego akcjonariuszu Orlenu sprzedaż papierów w dniu, kiedy wiedza o ustawie stała się prawdą publiczną, aby zadać cios wizerunkowy póki co opozycji. Teza wydaje się najbardziej prawdopodobna.

Inna teza jest taka, że ogłaszając wiedzę o projekcie ustawy, posłowie KO mieli w tym interes taki, aby zaprzyjaźnione z nimi fundusze, domy maklerskie etc. zarobiły na opcjach w przypadku, gdyby grały one na spadek wartości akcji Orlenu. Teza logiczna, aczkolwiek karkołomna.

No i w końcu nie jest wykluczone, że jakiś zwariowany makler rzeczywiście uważał, iż Orlen tonie. Sprzedał akcje po 58 zł z ogonkiem, co było taką sobie ceną. Zdarzyło się przecież miesiąc wcześniej, że Orlen kupowano i sprzedawano po 54 zł, czyli drastycznie taniej niż obecna alarmująca rzekomo jego wycena.

Reasumując: nic się nie stało. Nasze dobro narodowe nie straciło nawet eurocenta! Natomiast wysokie płomienie znad płockiego kombinatu widoczne z odległości kilkudziesięciu kilometrów spowodowane są uruchamianiem instalacji po planowym postoju technologicznym – wyjaśnia biuro prasowe koncernu.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Wojewódzki Szpital Psychiatryczny w Gdańsku wstrzymał przyjęcia na oddział dziecięco-młodzieżowy. Władze tłumaczą to „krytycznym przekroczeniem liczby jednoczasowo hospitalizowanych pacjentów". Na oddziale jest 76 pacjentów w 46 dostępnych łóżkach. „Z miesiąca na miesiąc sytuacja się pogarsza" – wyjawiła rzeczniczka szpitala Anna Czarnowska. Problem naprawdę polega na tym, że młodocianych wariatów w Gdańsku po prostu przybywa.

▮ Według dr. Wojciecha Kniecia z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu rośnie liczba samobójstw wśród młodych rolników. Corocznie w Polsce 5100–5600 osób popełnia samobójstwa (15 osób dziennie). 50 proc. wszystkich samobójstw popełniają mieszkańcy wsi. Ponieważ 60 proc. Polaków mieszka w miastach, doktorowi wychodzi, że wsie są zasadniczo bardziej suicydogenne niż obszary zurbanizowane. W celach profilaktycznych podajemy: Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym tel. 800 70 2222. Całodobowo siedem dni w tygodniu.

▮ Biuro Informacji Kredytowej (BIK) doniosło, że sprzedaż kredytów mieszkaniowych wyniosła w październiku 9,73 mld zł. To oznacza wzrost rok do roku o 360,6 proc. A z tego wynika, że bankowcy, windykatorzy, komornicy, handlarze wierzytelnościami i inni krwiopijcy o swój dach nad głową nie muszą się martwić. Roboty nie zabraknie.

▮ Pojawiają się owoce polityki gospodarczej PiS. Jeżeli ktoś zamówił lub przedpłacił telewizor w polskiej sieci elektromarketów Neonet (300 placówek w kraju), no to „Sylwestra Marzeń" obejrzy sobie na starym urządzeniu. Spółka Neonet złożyła wniosek o upadłość. Inna – RTV Euro AGD – na razie redukuje etaty i zmniejsza pensje.

▮ Mieszkający w Ustce i Krośnie w noc andrzejkową widzieli rzekomo na niebie zorzę polarną. Znaczy zielone rozbłyski światła spowodowane wiatrem słonecznym protonów i elektronów docierających do ziemskiej atmosfery. W Warszawie też nam się wydawało, że coś takiego było, ale mogło być spowodowane zupełnie innymi czynnikami niż kosmiczne.

▮ Kufel piwa w warszawskim lokalu Chmielarnia przy ulicy Twardej kosztuje 22 zł, o czym informujemy bez żadnych skrupułów.

▮ W Poznaniu w rezultacie opadów śniegu na ulice zamiast piaskarek wyjechały kosiarki – zauważyli mieszkańcy. Pierwszy pokos śniegu odbywał się w okolicach ul. Krzywoustego. Zarząd Dróg Miejskich wyjawił, że podjęto decyzję o pilnym przycięciu zdrewniałych części roślin, które miało się odbyć przed nastaniem białego szaleństwa, ale wykonawca nie zdążył.

▮ Krakowski magistrat powołał specjalną komisję do sprawy uszkodzenia przez nieznanego sprawcę Smoka Turysty, stojącego przy parku Bednarskiego. Smok Turysta jest częścią instalacji tak zwanego smoczego traktu, wyznaczanego przez spiżowe posągi Smoka Geodety na al. Dembowskiego, Smoka Malarza przy pl. Axentowicza, Smoka z Mapą, Smoka z Latawcem, Smoka Filmowca, Smoka Wodnego. Przecieki z prac komisji wskazują, że 50-centymetrowa figurka, za którą zapłacono 55 tys. zł, mogła ulec destrukcji niekoniecznie w rezultacie aktu wandalizmu. Posiadała wadę fabryczną.

▮ Samochód osobowy marki BMW zatonął w głębokich wodach Odry opodal nadbrzeża Janówek we Wrocławiu. Dwie młode osoby znajdujące się na pokładzie samochodu szczęśliwie opuściły go bez poważniejszych obrażeń. Obywatele Ukrainy tłumaczyli, że o tej porze roku rzeki zasadniczo powinny być już zamarznięte.

▮ Podczas barbórki w Zakładach Wzbogacania Rud w Polkowicach pobili się górnicy. Jeden stracił przytomność, więc wyniesiono go na zewnątrz. Położono na chodniku. Kiedy przyjechała karetka, górnik akurat odzyskał świadomość. W najlepszej wierze rozpoczął walkę z chcącym udzielić mu pomocy lekarzem i sanitariuszem. Pobił też wezwanych na pomoc policjantów. Zdemolował karetkę i naruszył radiowóz. Po wytrzeźwieniu wyraził skruchę. Poddał się dobrowolnie karze roku więzienia w zawieszeniu oraz sporej grzywny.

▮ Grupa Orlen ujawniła, że 1 stycznia ze stacji paliw zniknie klasyczna benzyna Pb95. Zastąpi ją benzyna o oznaczeniu E10 ze zwiększoną domieszką biokomponentów. Orlen uważa, że „zdecydowana większość kierowców nie odczuje żadnej zmiany". Obawiamy się, że zaliczamy się do tej zdecydowanej mniejszości kierowców.

▮ Centrum Astronomiczne PAN poinformowało o przełomie w polskiej astronomii. Nie, nie chodzi o to, że urodził się kolejny Kopernik. Po trzech latach budowy na środku pustyni Atakama w Chile (Ameryka Południowa) otwarto obserwatorium astronomiczne Cerro Armazones, w którym zainstalowano pięć teleskopów. Prof. Grzegorz Pietrzyński, kierownik obserwatorium, powiedział, że jest to inwestycja w przyszłość, finansowana przez Ministerstwo Edukacji i Nauki oraz z europejskiego grantu naukowego.

R.J.

Rys. OBYWATEL JANEK

PS Wieści zredagowano w oparciu o doniesienia prasy z całej Polski. Wiemy, jak i co tam bywa, dlatego sami im nie dowierzamy. Za potencjalne przekłamania przepraszamy. Odżegnujemy się też od każdego rodzaju odpowiedzialności.

eprasa.pl 098835538c

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powiecie, że red. Jacek Żakowski, który chciałby pozostawić telewizyjną Dwójkę w rękach pisowskich oficerów propagandowo-agitacyjnych… Powiecie, że eksminister i wiceminister od trefnych respiratorów Janusz Cieszyński, który nie może się nachwalić trwałego jak okamgnienie gabinetu Morawieckiego… Powiecie, że prezydent Andrzej Duda, który nie tylko przy okazji mianowania tego gabinetu wystawia się na nieprzemijalną śmieszność…

A my powiemy, że najnowszym „Móżdżkiem Tygodnia" jest były gwiazdor scen rockowych i obecny pisowski przydupas polityczny Paweł Kukiz. Pół biedy, że w „Fakcie" zjebał marszałka sejmu Szymona Hołownię, mówiąc o nim, że do pełnionej funkcji podchodzi jak do roli konferansjera. Cała bieda polega na tym, że Kukiz zjebał ludzi, którzy konferansjerkę Hołowni tak chętnie oglądają w telewizji: „Miejsce, w którym rozgrywają się sprawy, które będą decydowały nie tylko o losie współczesnego pokolenia, ale również o losie przyszłych pokoleń, traktowane są z perspektywy talk-show. To jest rzecz porażająca. Czy ludzie nie mają świadomości, że to nie jest zabawa? W tej instytucji powinny się dziać bardzo poważne rzeczy i zapadać bardzo poważne decyzje, natomiast ludzie oglądają to jak program".

Zły to artysta, który krytykuje publiczność. Teraz w Polsce o takich jak Kukiz mówi się, że schodzą nie na psy, tylko na pisy.

GADMAN

Na widelcu

Najśmieszniejsza władza w świecie.

„To są ludzie, którzy uczyli się od nas jeść widelcem parę wieków temu, więc być może w taki sposób się teraz zachowują" – tak w 2016 r. ówczesny wiceminister obrony narodowej Bartosz Kownacki komentował krytykę rządu polskiego we francuskich mediach, kiedy minister Macierewicz zerwał niespodziewanie przygotowywany już kontrakt na zakup kilkudziesięciu śmigłowców Caracal.

Wypominając wtedy Francuzom, że ich król Henryk Walezy po raz pierwszy w życiu jadł kulturalnie widelcem podczas pobytu na zamku wawelskim, czyli francuską nędzę cywilizacyjną, minister Kownacki realizował przy okazji nową politykę wstawania Polski z kolan. Dumnie i szumnie ogłoszoną przez elity PiS.

Była to polityka masowego upowszechniania w krajowych i światowych mediach wielkich historycznych, cywilizacyjnych osiągnięć i zasług Polaków. Pompowania w kraju polskiej dumy narodowej. Walki z każdym przejawem wytropionego na świecie antypolonizmu i permanentnego promowania tam wspaniałego wizerunku wielkiej i dumnej Polski.

Dziś widzimy efekty tamtej polityki. Po zerwaniu kontraktu na francuskie śmigłowce ministrowie Macierewicz i Błaszczak wielokrotnie obiecywali zakup innych od konkurencyjnych producentów. Siedem lat minęło i polska armia nadal nie dysponuje niezbędną flotą wielozadaniowych helikopterów.

Gówno prawda

Znamy też wyniki wywołanej wtedy wielkiej narodowej debaty o wyższości polskiego widelca nad francuską kulturą bezwidelcową. Niestety, późniejsze badania poważnych historyków dowiodły, że w XVI-wiecznej Polsce widelców jeszcze nie używano. Zwłaszcza na królewskich i magnackich stołach.

Nie był on tam konsumentom potrzebny, bo ówczesna dworska kuchnia serwowała dania przede wszystkim w formie pasztetów i wymieszanych papek. Do ich spożywania używano noży, łyżek i pajd chleba. Wbrew narodowym mitom podczas tamtych dworskich uczt nie podawano na stoły wielkich połaci grillowanych mięs ani upolowanych i upieczonych dzikich zwierząt w całości.

Uważano wtedy, że człowiek jest istotą duchowo wyższą od zwierzęcia i dlatego nie może jeść jak byle zwierzę. Ówczesna kultura i dobre zwyczaje nakazywały, aby dworscy kucharze mieszali różne mięsa ze sobą, dodawali masę kosztownych przypraw, przeróżnych barwników, i takie pasztetopodobne potrawy podawano na dworskie stoły.

Na podobnych zasadach w tym czasie w Wietnamie eleganckie kobiety celowo barwiły sobie zęby na niebiesko. Aby odróżnić swe ludzkie zęby od pospolitych, połyskujących bielą zębów dzikich zwierząt.

Poważni historycy dowiedli też, że wspomniany przez ministra Kownackiego widelec wynaleziono zapewne we Włoszech, bo tam jadano nimi makarony, znane od czasów antycznych. Zapewne po raz pierwszy takie widelce zobaczył Henryk Walezy w Wenecji. Tam najpierw trafił, uciekając w 1574 r. z Wawelu. W Polsce mógł co najwyżej zobaczyć widelec przywieziony z Włoch jako ciekawostkę. Powszechnie zaczęto widelców używać u nas dopiero w XVIII w.

Na Wawelu król Henryk Walezy mógł za to po raz pierwszy zobaczyć specjalnie wymurowane ubikacje. Wyłożone drewnianymi deskami przypominającymi dzisiejsze klozetowe. W ówczesnej Francji funkcje ubikacji pełniły pałacowe kominki. Oddawany tam przez arystokrację mocz i inne nieczystości spalano na bieżąco, choć nie bezzapachowo. Zatem gdyby minister Kownacki chciał wprawić Francuzów w cywilizacyjne kompleksy, powinien przypomnieć im te toalety z Wawelu, a nie próbować wziąć ich na widelec.

Ale wawelskie toalety też mogą okazać się gównianym argumentem w polskiej patriotycznej polityce historycznej. Podobne znajdziemy na zamku w Malborku, zbudowane wcześniej niż te wawelskie. Czy dowodzą one tezy, iż to Krzyżacy nauczyli Polaków kulturalnie srać? Na siedząco, intymnie, modlitewnie nawet. A dopiero potem Polacy ucywilizowali tych srających do kominków niby wykwintnych Francuzów?

Polskę sław

Polska Fundacja Narodowa została poczęta przez pisowskie elity w 2016 r. Wtedy premier Beata Szydło ogłosiła, że fundacja będzie promować wizerunek „Polski ambitnej, pięknej i przyjaznej, do której warto przyjechać, gdzie są ogromne możliwości i wspaniali ludzie".

Rys. TOMASZ WIATER

Pierwszą taką promocję zobaczyliśmy na przelicznych billboardach obrzydzających niemiłych władzy PiS polskich sędziów. Uzasadniała czystki personalne przeprowadzane przez ministra Ziobrę w systemie sprawiedliwości. Kosztowała polskiego podatnika, czyli nas wszystkich, przynajmniej 8,4 mln zł.

Ale Polską Fundację Narodową stać było na to. W latach 2017–2021 17 wielkich firm, zwanych spółkami skarbu państwa, przekazało tej fundacji 375 mln zł. To były też nasze, czyli polskich podatników, pieniądze. Było zatem za co ten wizerunek „Polski ambitnej, pięknej i przyjaznej" promować.

Niestety, do tej pory nie wiemy dokładnie, co się stało z tymi pieniędzmi. Polska Fundacja Narodowa była hojna w ich wydawaniu, lecz wielce skąpa w ujawnianiu w swych sprawozdaniach, na co te miliony wydawała.

Na pewno kupiła jacht, który został dumnie ochrzczony „I love Poland". Po polsku znaczy to „Kocham Polskę". Aby pływał on po morzach i oceanach i sławił wspomnianą już „Polskę ambitną, piękną i przyjazną".

Potem było jak w starych radzieckich dowcipach o Radiu Erewań. Jacht dla tej „ambitnej Polski" kupiono na starzyźnie za 900 tys. zł, ale na jego użytkowanie zaplanowano już na wstępie 3 mln zł. W czasie jednego z próbnych rejsów załoga złamała maszt. Wtedy wyszło na jaw, że maszt złamał się ponownie. Pierwszy raz stało się to, kiedy „I love Poland" zwał się zwyczajnie „Puma". Potem wyszło na jaw, że kandydatka na dumę Polski jest jednostką awaryjną. Co gorsza, z racji swych archaicznych parametrów nie może startować w prestiżowych regatach, tylko robić rejsy szkoleniowe.

Państwo błaznów

Potem powstał kolejny projekt sławiący powstałą z kolan Polskę. Znany pod kryptonimem „100×100". W 2018 r. wytypowano setkę światowych osobowości od sportu, kultury, biznesu i zaproponowano im, by rozsławiali Polskę u siebie, zwłaszcza wśród swoich znajomych. Udało się skusić przynajmniej dziewięciu, może 11. Wydano na to kuszenie w latach 2018–2019 ponad 17 mln zł. Zaplanowanej setki na szczęście nie skuszono, bo wtedy pewnie fundacja wydałaby ponad 100 mln zł.

Znacznie mniej, bo tylko ponad 20 mln zł, wydała fundacja na promocję Polski w USA. Aby ułatwić sobie robotę, wynajęto amerykańską agencję piarową White House Writers Group. Ta zamieściła w tamtejszych mediach społecznościowych sławiące Polskę informacje. Efektów tej akcji nie znamy. Na pewno dwie z tych informacji były intensywnie komentowane w mediach krajowych i zagranicznych: kiedy opublikowano zdjęcia czeskiej Pragi jako widoków z Warszawy i kiedy podpisano skoczka narciarskiego Kamila Stocha jako znanego polskiego akrobatę.

Dnia 27 listopada 2023 r. premier Morawiecki zaprezentował swój nowy rząd, a prezydent Duda powołał i zaprzysiągł ten rząd. Przez kilka następnych dni musiałem wyjaśniać znajomym dziennikarzom z Chin, Wietnamu, Ukrainy, Francji, Węgier, USA i Irlandii, dlaczego ów rząd zwie się tymczasowym. I po co zaprzysięgać rząd, który nie ma większości w parlamencie. I mieć jej nie będzie. Ich komentarze były podobne. Najbardziej przychylnym Polsce stwierdzeniem było, że jest ona wyjątkowo śmiesznym państwem. Rządzonym przez błaznów, którzy niczym małpki wdrapali się na królewskie trony.

Jedna Polska Fundacja Narodowa wydała niedawno ponad 400 mln zł, aby Polska była poważana w świecie. Podobnych fundacji i organizacji władza PiS powołała więcej. One też setki milionów wydawały na reklamę poważnej Polski. Ale potem w ciągu jednego dnia jeden prezydent Polski, jeden premier i jeden prezes Kaczyński jednym tymczasowym rządem skutecznie ośmieszyli Polskę w świecie i wszystkie wydane na jej promocję miliony.

PIOTR GADZINOWSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Państwo Islamskie przyznało się do podłożenia ładunku wybuchowego, który zabił co najmniej cztery osoby, a 50 ranił podczas katolickiej mszy odbywającej się w sali gimnastycznej Uniwersytetu w Marawi, stolicy prowincji Lanao del Sur na południu Filipin. Wybuch w Marawi poprzedziła seria operacji wojskowych przeciwko lokalnym grupom Państwa Islamskiego. Jedna z nich doprowadziła do zabicia przywódcy grupy Dawlah Islamiya-Maute. „Możliwe, że wybuch na uniwersytecie był atakiem odwetowym" – ocenia szef filipińskich sił zbrojnych Romeo Brawner. Powiązana z Państwem Islamskim grupa Maute zajęła Marawi w maju 2017 r., dążąc do przekształcenia go w lokalne gubernatorstwo ISIS. W trwających pięć miesięcy walkach między islamistami i wojskami filipińskimi zginęło ponad tysiąc osób, w tym wielu cywilów.

2. Dusty Deevers to republikański kandydat do senatu Oklahomy, kandydujący pod hasłem „Pastor – wojownik – biznesmen; walczę za wiarę, rodzinę i wolność". Jego plan walki nie obejmuje jednak wszystkich rodzin. Te z in vitro nie znajdują jego akceptacji. Rodzice, którzy decydują się na zapłodnienie pozaustrojowe, „dopuszczają się napaści przeciw Bogu", albowiem tworzą „niezliczone kriosieroty" i pozwalają, aby „nasi płodowi bliźni" byli „krioaresztowani w lodowych więzieniach". Jest też imponująco szczery: podczas gdy konkurencja coś marudzi o rozwiązywaniu problemów elektoratu, on wyznaje: „Kiedy zwolniło się miejsce w okręgu 32., stało się dla mnie jasne, że Bóg przygotowywał mnie do tego wyścigu… Moim celem w tej kampanii jest uwielbienie Boga i walka o sprawy, o które wierzę, że On chciałby, abym walczył".

3. Rosyjski Sąd Najwyższy orzekł, że „międzynarodowy ruch społeczny LGBT i wszystkie podległe mu jednostki" to organizacje ekstremistyczne, których działanie zostaje zakazane na terenie Federacji Rosyjskiej. „Decyzja sądu podlega natychmiastowej egzekucji" – dorzucił sędzia Oleg Nefijodow, a policja skwapliwie przystąpiła do działania, organizując już nazajutrz serię nalotów na gejowskie kluby, bary i sauny. W Sankt Petersburgu słynny klub Tsentralnaya Stantsya ogłosił właśnie, że się zamyka, ponieważ z powodu orzeczenia sądu wymówiono mu lokal. Wniosek do sądu złożyło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które oświadczyło, że zidentyfikowało znaki i zachowania osób LGBTQ+ będących częścią „ruchu o ekstremistycznym charakterze" nacelowanego na „podżeganie do niezgody społecznej i religijnej".

4. Dave i Cherry McKayowie, założyciele australijskiej sekty Głos Pustyni, stanowczo protestują przeciwko oskarżeniom komisji śledczej senatu Kenii. Komisja przypisuje im wpływ na pastora Paula Mackenziego Nthenge – przywódcę Międzynarodowego Kościoła Dobrej Nowiny, w którego posiadłości znaleziono zwłoki 400 członków sekty zmarłych z głodu. Nauczał on, że Jezus ukazał mu się osobiście i polecił wzywać wiernych do postu, który przybliży ich spotkanie z Panem. Zanim został aresztowany za zagłodzenie na śmierć 400 osób, Nthenge był zatrzymany za wzywanie do bojkotu Huduma Namba, czegoś w rodzaju kenijskiego PESEL-u, który władze chcą nadać wszystkim obywatelom. McKay przyznaje, że wysłał do Kenii swojego współpracownika, który wygłosił kazanie, nazywając PESEL znamieniem bestii, ale nic poza tym.

5. Aktywiści z grupy klimatycznej Extinction Rebellion wtargnęli na mszę celebrowaną przez arcybiskupa Turynu Roberta Repolego, aby przeczytać fragmenty encykliki papieża Franciszka „Laudato Si'" i jego adhortacji apostolskiej „Laudate Deum" – oba dotyczące zmian klimatycznych i odpowiedzialności człowieka. Archidiecezja turyńska wydała oświadczenie stwierdzające, że arcybiskup „ma wielki szacunek dla tych, którzy mobilizują się w obronie stworzenia i odpowiadają na wezwania papieża Franciszka", a także „docenia zaangażowanie w tym sensie działaczy Extinction Rebellion", tym niemniej jest mu „przykro, że zdecydowali się zabrać głos w katedrze". Abp Repole uważa, że protest byłby stosowny, gdyby aktywiści wcześniej z nim porozmawiali i poprosili o zgodę na odczytanie słów papieża.

Rys. WIDGET

6. Michael Voris, twórca ekstremistycznego portalu Church Militant, powołanego do walki z „poważną erozją wiary katolickiej w ciągu ostatnich 50 lat", odchodzi z pracy. „Voris został poproszony o rezygnację z powodu naruszenia klauzuli moralności Church Militant" – ogłosiła katolicka grupa medialna St. Michael's Media, do której należy portal. Voris w nagranym oświadczeniu ogłosił, iż „są okropne, obrzydliwe rzeczy", nad którymi „musi popracować". Voris „nie zamierza się nimi dzielić", bo to „tylko jego sprawa", ale „musi pokonać te demony", które są dla niego „jak duchowy terror". Wyznawcom oszczędzono szczegółów, ale można się ich domyślać, zważywszy iż w 2016 r. ten walczący katolik wyznał publicznie, iż za młodu był przez wiele lat „zaangażowany w związki i wspólne mieszkanie z homoseksualnymi mężczyznami".

eprasa.pl 098835538c

Facet, który załatwił jedną z najbardziej rozpoznawalnych polskich marek, został wciśnięty na kolejną kadencję szefa KNF.

Niedźwiedziobójca

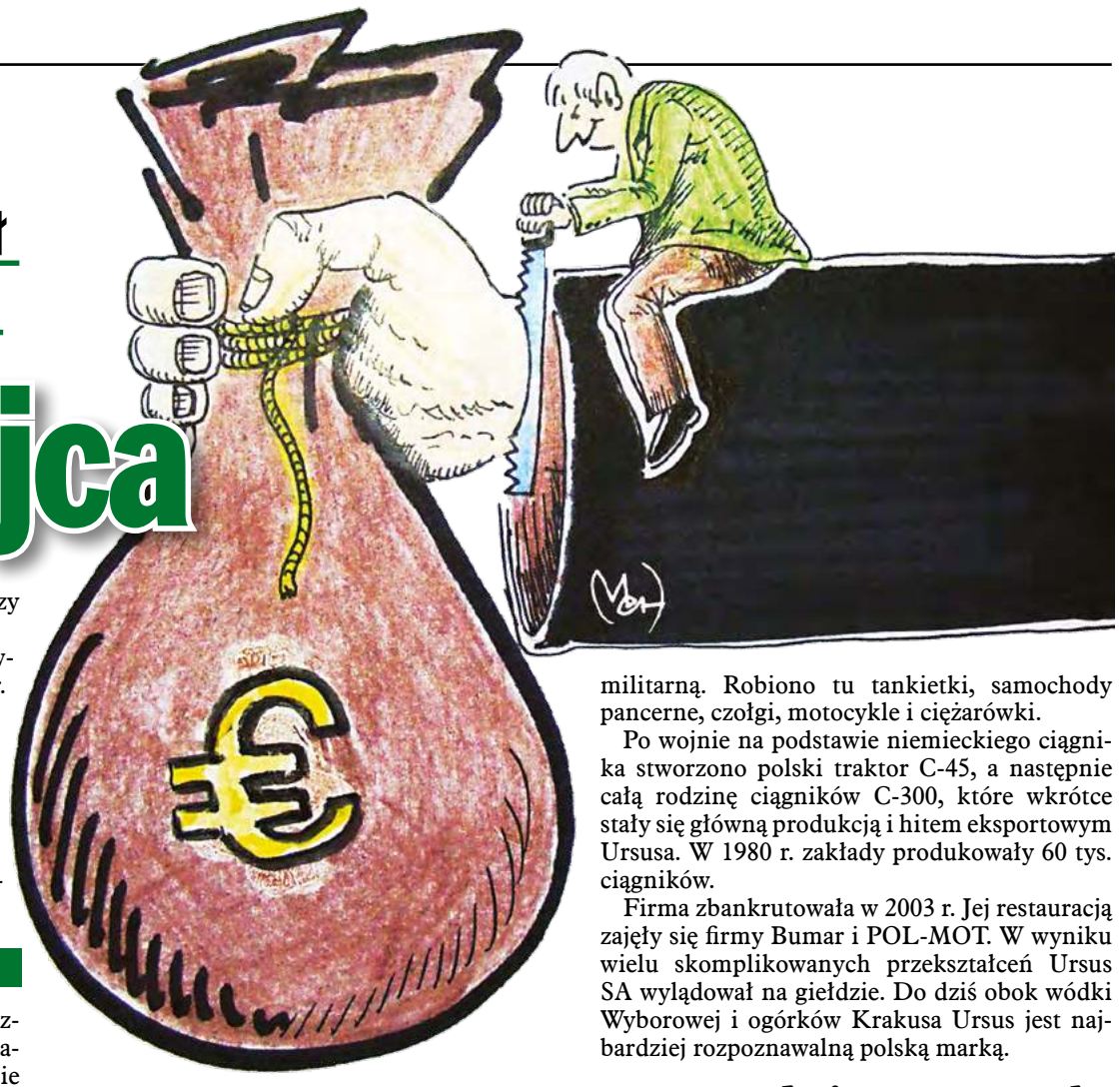

Operetkowy premier dwutygodniowy mianuje, nagradza, dopieszcza i awansuje na potęgę. Mówi się wręcz o nominacjach last minute i premiach pocieszenia. Jedna z takich nominacji last minute umknęła większości obserwatorów. Nowym starym przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego pozostał Jacek Jastrzębski. Na pięcioletnią kadencję rzutem na taśmę nominował go Mateusz Morawiecki, odgrywający rolę dwutygodniowego premiera.

Nowy stary szef KNF udzielił pierwszego wywiadu po nominacji. W rozmowie z serwisem Business Insider rzekł: „Uważam, że to, co zrobiliśmy w czasie mojej pierwszej kadencji, to dobra wizytówka KNF".

Ursus ma plany

Ursus to marka znana na całym świecie, spółka akcyjna notowana na giełdzie. Gdy w wyniku dziwnych działań Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (to temat na osobny artykuł) zachwiała się sprzedaż ciągników marki Ursus w Polsce, zarządzający firmą nie załamali się, tylko rozpoczęli poszukiwania innych rynków sprzedaży. W latach 2016–2017 pozyskali kontrakt z Tanzanią (55 mln dolarów) i z Zambią (100 mln dolarów).

Jednocześnie budowali drugą „elektryczną nogę" firmy. Rozpoczęli produkcję autobusów i trolejbusów elektrycznych, homologując całą gamę taboru od 8 do 18 metrów długości. Wygrali przetarg na dostawy tych pojazdów do Warszawy, Lublina, Zielonej Góry, Torunia, Ostrowa Wielkopolskiego i Szczecinka.

Mało tego, spółka wygrała też przetarg rozpisany przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju na wyprodukowanie 1000 sztuk elektrycznych autobusów. Zaprezentowała też w tym czasie pierwszy polski autobus wodorowy z homologacją. Przekazany do eksploatacji w Holandii, służył dwa lata i przejeżdżał dziennie 450 km przy bardzo niskim zużyciu wodoru.

Prace rozwojowe marki Ursus dotyczyły również elektrycznego dostawczaka. W 2018 r. przy okazji Kongresu 590 w podrzeszowskiej Jasionce zaprezentowano jeżdżący prototyp 3,5-tonowego samochodu Elvi. Premier Mateusz Morawiecki i prezydent Andrzej Duda byli zachwyceni. Może to nie milion samochodów Izera, ale zawsze jakiś polski nowoczesny produkt, przy którym można się pokazać i zapozować do fotek.

Ursus już nie ma planów

Nie da się ukryć, że prowadzone z takim rozmachem działania musiały kosztować. Oznaczało to oczywiście linie kredytowe i kolędowanie po prośbie u rządzących, by za pośrednictwem różnych funduszy służących wsparciu polskiej przedsiębiorczości pomagali Ursusowi.

Jakoś się ta inżynieria finansowa spinała, ambitne plany wchodziły po kolei w życie, marka odzyskiwała dawny blask. Aż 2 kwietnia 2019 r. Komisja Nadzoru Finansowego pod przewodnictwem Jacka Jastrzębskiego powiadomiła opinię publiczną, że złożyła do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa nieuprawnionego ujawnienia i wykorzystania informacji poufnej w związku z obrotem akcjami Ursus SA. Lawina ruszyła błyskawicznie. Zablokowano rachunki firmy, akcje spadły o 50 proc., a inwestorzy zainteresowani dokapitalizowaniem spółki pierzchli przerażeni. Banki wypowiedziały linie kredytowe.

Co z zawiadomieniem złożonym przez Jastrzębskiego? Prokurator prowadził intensywne dochodzenie, jednak nie wykrył żadnych śladów przestępstwa. Mimo to KNF się odwołała do sądu. Sprawa zakończyła się postanowieniem Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa, który 17 grudnia 2020 r. oddalił zażalenie KNF na postanowienie prokuratury o umorzeniu sprawy. Sprawy zatem nie było.

Ułomna pamięć przewodniczącego

Początki marki Ursus sięgają końcówki XIX w. W 1893 r. przy ul. Siennej 15 w Warszawie powstało Przemysłowe Towarzystwo Udziałowe produkujące armaturę. Kapitałem założycielskim był posag siedmiu panien, córek założycieli, co upamiętniono znakiem firmowym P7P. W 1907 r. zmieniono nazwę na Towarzystwo Udziałowe Specyalnej Fabryki Armatur i Motorów, a znak P7P na Ursus. Firma produkował już wtedy silniki spalinowe o mocy od 5 do 60 KM.

Od 1921 r. fabryka Ursus produkowała ciężarówki (głównie na potrzeby odradzającej się armii polskiej), a od 1922 r. ciągniki, samochody osobowe i autobusy.

Po wielu perypetiach w latach 30. spółka w znacznej części przestawiła się na produkcję militarną. Robiono tu tankietki, samochody pancerne, czołgi, motocykle i ciężarówki.

Po wojnie na podstawie niemieckiego ciągnika stworzono polski traktor C-45, a następnie całą rodzinę ciągników C-300, które wkrótce stały się główną produkcją i hitem eksportowym Ursusa. W 1980 r. zakłady produkowały 60 tys. ciągników.

Firma zbankrutowała w 2003 r. Jej restauracją zajęły się firmy Bumar i POL-MOT. W wyniku wielu skomplikowanych przekształceń Ursus SA wylądował na giełdzie. Do dziś obok wódki Wyborowej i ogórków Krakusa Ursus jest najbardziej rozpoznawalną polską marką.

Przewodniczący Jacek Jastrzębski, chwaląc się dokonaniami z poprzedniej kadencji, zapomniał o nieszczęsnym zawiadomieniu, jakie złożył w prokuraturze. Nie pamiętał też o jego skutkach.

Dziś Ursus jest w stanie upadłości. Bez interwencji państwa znana na całym świecie marka przepadnie.

ANDRZEJ RATT

Zmieleni wiatrakami

W oczekiwaniu na dobrą zmianę.

Rys. JANUARY

Powiedzmy sobie szczerze: z wiatrakami nowa jeszcze-nie-władza dała dupy. Jak mawiał w takich momentach Henryk Kwinto: „Trzeba było uważać".

To, że PiS wraz z TVP Info rozpęta wokół wiatraków gównoburzę przy pierwszej nadarzającej się okazji, było, jako żywo, do przewidzenia. Nie dość, że projekt był firmowany przez kandydatkę na ministra środowiska Paulinę Hennig-Kloskę, co przydało mu gravitasu, nie dość, że stanowił mało finezyjną wrzutkę do innej powszechnie oczekiwanej ustawy dotyczącej zamrożenia cen energii, to jeszcze jakość prac nad projektem poselskim pozostawia wiele do życzenia.

Szczególną wątpliwość budzi tajemnicza zmiana odległości minimalnej od wiatraka do zabudowań mieszkalnych, która w uzasadnieniu wynosi powszechnie akceptowalne 500 m, a w treści samego projektu spada do 300 m. Teraz nikt się do wpisania tych 300 m nie przyznaje. Inicjatorzy ustawy zapewniają za to, że projekt nie przewiduje wywłaszczania pod wiatraki – to drugi punkt natarcia PiS i TVP. Wpisanie farm wiatrowych do katalogu tzw. celów publicznych ma oznaczać tylko tyle, że kabel do wiatraka, na który uzyskano zgodę zgodnie z wymogami środowiskowymi, będzie można położyć na podstawie decyzji administracyjnej.

Nie zmienia to wszakże faktu, że projekt ten jest – parafrazując klasykę – wodą na młyn odwetowców z PiS. Ostatnia wiadomość jest taka, że posłowie Lichocka, Ozdoba, Kowalski i Szczucki – doborowa drużyna kaczystów i ziobrystów – złożyli wniosek do prokuratury, która skwapliwie wszczęła śledztwo w sprawie płatnej protekcji. Po ludzku: łapówki, którą – jak rozumiemy – ktoś miał wziąć przy pisaniu projektu od wiatrakowych lobbystów. Słowem: mleko się wylało.

Żeby było zupełnie śmiesznie, wylał je nie PiS, ale fundacja Basta prowadzona przez znanego działacza LGBT Barta Staszewskiego. Na jej stronie pojawiła się pierwsza merytoryczna krytyka projektu. Statutowy cel fundacji Basta to walka z homofobią w mediach i mową nienawiści wymierzoną w osoby nieheteronormatywne, ale akurat tak się złożyło, że facet Barta i współtwórca fundacji Sławek Wodzyński zajmuje się zawodowo „ochroną przyrody w procesie inwestycyjnym" i projekt go wkurwił, więc walnął tekścik i powiesił na stronie fundacji. Awantura zaczęła się następnego dnia.

Walka z wiatrakami to jeden z kluczowych elementów tożsamości populistycznej prawicy – pisał o tym kilka miesięcy temu w „New York Timesie" ekonomiczny noblista Paul Krugman. W USA duchowym patronem tej batalii jest Donald Trump, ale jej głównym frontem stał się ultrakonserwatywny stan Teksas, który pod względem liczby i produktywności wiatraków pozostawił w tyle nawet przodującą w odnawialnej energii postępową Kalifornię. Dzieje się tak po prostu dlatego, że w Teksasie wieje jak nigdzie indziej i wiele tradycyjnych korporacji naftowych zainwestowało tam w farmy wiatrowe. Teraz republikańskie władze Teksasu wymyślają coraz to nowe regulacje, które mają poskromić rozwój energetyki wiatrowej w kompletnym kontraście z libertariańskim duchem stanu, gdzie wolno zarabiać na wszystkim. Krugman uważa, że to efekt szczególnego stanu ducha konserwatywnej prawicy, która nie jest przeciwko energii wiatrowej jako takiej – jest przeciw idei energii odnawialnej, albowiem lewica jest tak bardzo za nią.

Noblista nazywa to „wirusem niechęci do przebudzeństwa" (*anti woke virus*) i zauważa, że kompulsja zwalczania rozwiązań popieranych przez zatroskanych o klimat postępowców jest wśród konserwatystów silniejsza niż rachunek ekonomiczny, nie wspominając już o zdrowym rozsądku. Sądzę, że diagnoza ta jest trafna także w odniesieniu do polskiej konserwatywnej prawicy. Platforma Obywatelska i Polska 2050 musiały wiedzieć, że liberalizacja ustawy wiatrakowej napotka na dziki ideologiczny opór ze strony PiS. Nie powinny były zatem pozwolić sobie na dezynwolturę, z którą napisany został projekt ustawy.

Z całej tej zadymy płynie jeszcze jeden morał. Otóż wbrew najwyraźniej obecnemu wśród nowej większości poczuciu omnipotencji nie wszystko jej wolno. Nie wolno składać gównianych, niedopracowanych projektów podpisywanych przez posłów, którzy ich nie przeczytali.

Nie tylko dlatego, że PiS ma nadal media publiczne, które walczą o życie i są niebezpieczne jak skorpion w pułapce, ale także dlatego, że sojusznicy nowej władzy – w odróżnieniu od akolitów i klientów starej – nie będą kierować się ślepą lojalnością. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobnego sojusznika PiS niż para działaczy gejowskich oskarżanych przez pisowskich ministrów o „profanację symboli narodowych" poprzez umieszczenie orła na tęczowym tle (Brudziński) i promowanie „zboczeń, dewiacji, wynaturzeń" w formie marszu równości (Czarnek). Jednak nie oznacza to, że ci działacze nie będą krytykować nowej władzy za jej błędy. I bardzo słusznie.

Pierwsza reakcja nowej większości wydaje się trafna: wycofała się z projektu. Marszałek Hołownia zapowiedział we wtorek, że ustawy o zamrożeniu cen energii i o wiatrakach zostaną rozdzielone: za wiatraki weźmie się rząd, jak już będzie. Słyszymy też obietnicę rezygnacji z najbardziej kontrowersyjnego zapisu, tego o 300 m od zabudowań mieszkalnych. Wygląda jednak na to, że Paulina Henning-Kloska – przynajmniej wedle zapowiedzi Hołowni – nie odpowie za minę, na jaką wsadziła nowy rząd, zanim jeszcze formalnie została jego członkiem.

Z jednej strony rozumiem deklaracje, że to nie Morawiecki będzie układał gabinet Tuska. Z drugiej wszakże byłoby dobrze, gdyby do polskiej polityki powróciła koncepcja politycznej odpowiedzialności. Paulina Henning-Kloska, która kilka dni temu chwaliła się na platformie X zdjęciem nad papierami i pracowitością („Prace trwały czasami do późnych godzin nocnych, narady były długie i mocno merytoryczne"), dziś ogłasza, że ustawa jest w zasadzie autorstwa PO, ona ją tylko konsultowała, teraz będą do niej „trzy grupy poprawek", ale Kloska „jeszcze wszystkich nie przeczytała", a tak w ogóle to krytykowanie jej to działalność w interesie Putina. Nie usłyszeliśmy prostego oświadczenia: zrobiliśmy błąd, poprawiamy go, przepraszamy.

Nikt nie oczekuje od posłanki Henning-Kloski złożenia mandatu, ale czy aby na pewno musi zostać ministrem, który przez najbliższe cztery lata będzie okładany przez opozycję tym nieszczęsnym projektem?

Czy nie lepiej byłoby skorzystać z okazji, żeby powierzyć to stanowisko komuś, kto naprawdę zna się na środowisku? To akurat obszar, w którym jest wielu fachowców: uczonych i działaczy naprawdę wiedzących, o czym mówią.

To byłaby dobra zmiana.

AWŁ

eprasa.pl 098835538c

„NIE” rozmawia z 24-letnim Adamem Gomołą (Trzecia Droga – Polska 2050), najmłodszym posłem sejmu X kadencji.

Wiejską taksówką do akademika

Fot. INTERNET

– Jak ci się podoba w sejmie?
– Przed objęciem mandatu byłem w sejmie kilkukrotnie i zawsze robił na mnie wrażenie instytucji dość surowej i nieprzyjaznej. Wrogą atmosferę potęgowały barierki otaczające sejm. Teraz ta instytucja zmienia się na lepsze, czego dowodem jest choćby zniknięcie barierek.

– Barierki zniknęły, ale wciąż nie można bez przepustki wchodzić na tereny zielone wokół sejmu. Dziennikarze także nie mają wstępu do wszystkich miejsc, które były dostępne przed 2016 r. Czy to się zmieni?
– To sprawa do dyskusji. Wiem, że marszałek Hołownia ma wiele pomysłów na zmiany w sejmie, aby ten gmach był bardziej otwarty. Myślę, że w najbliższych latach sejm zarówno dla dziennikarzy, jak i dla zwykłych ludzi będzie jeszcze dostępniejszy. Wszakże nie chodzi jedynie o poprawę dostępu do sejmu, ale przywrócenie społeczeństwu należytej roli w stanowieniu prawa. Wrócą prawdziwe konsultacje społeczne i transparentność prac sejmowych. Na razie musimy jednak wdrożyć te najpilniejsze projekty, choćby kwestie wolnej niedzieli w Wigilię. Sprawa procedowana jest na kilkanaście dni przed wejściem w życie, ponieważ PiS zapomniał zrobić tego jeszcze w poprzedniej kadencji.

– Przy okazji sejmowej debaty o handlu w Wigilię poruszyłeś kwestię sytuacji materialnej młodych, w szczególności studentów. Powołałeś się na raport „Portfel studenta” opublikowany przez Warszawski Instytut Bankowości, z którego wynika, że dziś student na utrzymanie wydaje średnio 3867,06 zł miesięcznie (w 2016 r. wydawał 1574 zł). Wynika to z wysokiej inflacji, a w szczególności – ze wzrostu kosztów wynajmu mieszkań na rynku prywatnym.
– PL2050 proponuje „Akademik za złotówkę”…

– A przedstawiciele środowiska studenckiego sceptycznie odnoszą się do waszej propozycji. Wiceprzewodniczący Niezależnego Zrzeszenia Studentów Jakub Kruszyński na łamach „Polityki” stwierdził: „»Akademik za złotówkę« zwiększy tylko popyt na miejsca w akademikach, a to nie z tym jest problem, tylko z podażą”.
– „Akademik za złotówkę” to rozwiązanie, które ma wyjść naprzeciw najuboższym studentom. Jednocześnie trzeba zainwestować w kompleksowy i długofalowy program budowy akademików, które powinny być dostępne dla wszystkich. Nie chcemy, żeby wykształcenie zdobywali tylko najzamożniejsi. Uważam się za wolnorynkowca i mam przekonanie, że każdy jest kowalem własnego losu, ale każdy powinien mieć równy start m.in. poprzez dostęp do edukacji bez względu na to, gdzie mieszka i ile zarabia.

– Akademiki są jednak tylko częścią problemów mieszkaniowych.
– Tak, w Polsce brakuje ok. dwóch milionów mieszkań, dlatego musimy wesprzeć władze lokalne w zakresie budownictwa mieszkaniowego. Samorządy są kluczem do rozwiązania tego problemu, bo jako jedyne potrafią skutecznie prowadzić politykę mieszkaniową, kiedyś przez Towarzystwa Budownictwa Społecznego, a dziś przez Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe. Wszystkie inicjatywy na szczeblu centralnym, bez względu na to, kto rządził, były nieudane. Trzeba odejść od myślenia, że rząd buduje i za to należy mu dziękować. Przekażmy kompetencje samorządom, które są najbliżej ludzkich spraw, wiedzą, gdzie te mieszkania budować, a jednocześnie dysponują gruntami pod zabudowę.

– Lewica proponowała budowę 300 tysięcy mieszkań we współpracy z samorządami. Czy mimo że nie ma tego w umowie koalicyjnej, nowa większość popiera to rozwiązanie?
– Tak, pod warunkiem że program będzie realizowany we współpracy z samorządami. Jak tylko znajdziemy odpowiednie środki w budżecie, co na razie jest wyzwaniem, możemy się za to zabrać i Lewica może widzieć we mnie i w PL2050 swojego sojusznika.

– Jakie inne problemy dotykają pokolenie Z?
– Problemy młodych były osią mojej kampanii. Wspomnieliśmy o mieszkalnictwie. Drugim ważnym obszarem jest dostęp do usług publicznych. Obecnie w niemal co drugiej gminie nie ma dostępu do żłobka, nawet prywatnego. Młodzi rodzice nie potrzebują 500 czy 800 zł jałmużny miesięcznie, tylko dobrej opieki dla swoich dzieci. Zapewnienie dostępu do żłobków i przedszkoli pozwoli rodzicom pójść do pracy i zarabiać na etacie 5 albo 7 tys. zł. Gdy dziecko dorasta, pojawia się problem edukacji – widzimy dysproporcje w wynikach matur między Warszawą a miastami powiatowymi. W szczególności w językach obcych, które są kluczowymi kompetencjami wynoszonymi ze szkoły. Musimy dążyć do zmniejszenia tych dysproporcji.

Trzecią kwestią jest transport zbiorowy. Szczególnie w mniejszych województwach, takich jak moja Opolszczyzna. Mamy coraz więcej białych plam. Podczas rządów PiS zniknęła ponad połowa długości połączeń PKS. Jako PL2050 chcemy, żeby w każdym mieście powyżej 10 tys. mieszkańców funkcjonowała kolej, a w każdej gminie – PKS. Postuluję ponadto uruchomienie taksówek wiejskich, które dowoziłyby mieszkańców tam, gdzie utrzymywanie połączeń PKS byłoby nierentowne. Powyższe rozwiązania zatrzymałyby ucieczkę młodych z mniejszych miejscowości. Pamiętajmy, że nie każdy musi chcieć mieć auto, które, nawiasem mówiąc, radykalnie zwiększa koszty życia.

Czwartą kwestią jest szeroka opieka okołoporodowa, czyli uchwalany teraz projekt refundacji in vitro (mam nadzieję, że w ciągu kilku tygodni sprawa zostanie załatwiona), opieka podczas ciąży, dostęp do bezpiecznej aborcji, jeśli ciąża zagraża zdrowiu lub życiu kobiety, komplet refundowanych badań prenatalnych oraz dostęp do znieczulenia zewnątrzoponowego niezależnie od tego, czy ktoś mieszka w Warszawie, czy na Opolszczyźnie. Dziś według statystyk w woj. mazowieckim niemal 40 proc. porodów odbywa się ze znieczuleniem zewnątrzoponowym, a w woj. opolskim – 3 proc. W czym kobiety mieszkające na Opolszczyźnie są gorsze od tych w Warszawie?

– Zostałeś przewodniczącym zespołu ds. rad młodzieżowych. Rady funkcjonują od jakiegoś czasu, ale nie zauważyłem, żeby działanie tych instytucji miało jakikolwiek wpływ na politykę władz lokalnych. Jak poprawić ich działanie?
– To kwestia stworzenia mechanizmów ułatwiających zakładanie rad zarówno samorządom, jak i społeczeństwu obywatelskiemu. Ponadto należy promować politykę młodzieżową. Poza samorządowymi radami młodzieżowymi musimy rozwinąć rady przy ministerstwach. Dawniej sprawnie funkcjonowały, a teraz stały się radami młodych asystentów posłów PiS. Chciałbym także otworzyć sejm na konsultacje z młodymi. To będą moje priorytety w tej kadencji.

– Jako Trzecia Droga chyba najbardziej skrywaliście poglądy dotyczące spraw obyczajowych: legalizacji aborcji, związków partnerskich, równości małżeńskiej i legalizacji marihuany. Jakie jest twoje zdanie na te tematy?
– Nie zgadzam się, że skrywaliśmy te kwestie. Po prostu u nas nie ma dyscypliny światopoglądowej. Moje opinie dotyczące aborcji czy marihuany są w publicznych deklaracjach. Chętnie podyskutuję o legalizacji marihuany rekreacyjnej. Na pewno należy zdepenalizować jej posiadanie, bo absurdem jest, że policja ściga za posiadanie dwóch czy trzech gramów. Jeżeli chodzi o aborcję, mówię jasno: powrót do tzw. kompromisu natychmiast, a następnie rozpisanie referendum, tak jak się wydarzyło w Irlandii…

– A gdyby była ustawa w sejmie legalizująca aborcję na żądanie kobiety do 12. tygodnia ciąży, to głosowałbyś za czy przeciw?
– Wstrzymam się w głosowaniu dotyczącym wszystkich ustaw, które będą szły dalej niż tzw. kompromis aborcyjny, jeżeli nie rozpiszemy referendum. Nie chciałbym, żeby aborcja była substytutem antykoncepcji.

– W żadnym kraju, gdzie aborcja jest legalna (a w Europie są to wszystkie kraje z wyjątkiem Polski, Malty i Watykanu), nie stała się substytutem antykoncepcji. Co więcej, liczba aborcji spada wraz z upowszechnianiem antykoncepcji oraz edukacji seksualnej. Czy naprawdę drogą do zmniejszenia liczby aborcji nie jest edukacja, tylko zakaz?
– Absolutnie popieram promowanie antykoncepcji i edukacji seksualnej. Jednakże dostrzegam pewne tendencje zbytniego odchyłu w lewo, np. w haśle „Aborcja jest OK”. Nie, aborcja nie jest OK. Aborcja zawsze jest wyborem między mniejszym i większym złem. Z jednej strony nie chcielibyśmy zmuszać do niczego kobiet, z drugiej strony w momencie poczęcia zaczyna się życie, które państwo powinno chronić. To, co było w tzw. kompromisie, jest do zrobienia od razu, a wszystkie dalsze kroki powinny być kwestią referendum. Jeżeli głos społeczeństwa wybrzmi, to zagłosuję za każdym rozwiązaniem przyjętym w referendum, także za aborcją na żądanie.

– A równość małżeńska?
– Myślę, że związki partnerskie regulują 95 proc. potrzeb i aspiracji osób nieheteronormatywnych, i wprowadziłbym je od razu. Absurdem jest, że w Polsce osoby będące w związku nie mogą uzyskać w szpitalu dostępu do danych medycznych partnera. Jednak małżeństwo to co innego. W Polsce kojarzy się ze sferą sakramentalną, religijną…

– Sakramentalne jest małżeństwo kościelne, a mówimy o małżeństwie cywilnym.
– No tak, ale większość społeczeństwa nie rozgranicza małżeństwa cywilnego i kościelnego. Myślę, że to nie jest odpowiedni moment, nawet żeby tę dyskusję otwierać. Chcąc za wszelką cenę zrobić trzy kroki do przodu, możemy doprowadzić do sytuacji, że nie zrobimy nawet dwóch, i tego się bardzo obawiam.

– A jakby było głosowanie w sejmie ustawy o równości małżeńskiej?
– Też bym się wstrzymał.

– Podsumowując kwestie obyczajowe…
– Związki partnerskie – za, równość małżeńska – wstrzymuję się od głosu, tzw. kompromis aborcyjny – za, aborcja na żądanie do 12. tygodnia ciąży – wstrzymuję się od głosu, depenalizacja marihuany – za, legalizacja marihuany – za.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał **MAREK SANOWSKI**

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Ksiądz Adrian Chojnicki z parafii św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Rybniku aktywnie działa na platformie TikTok pod pseudonimem Padre Adriano. Duchowny wykorzystuje swój profil, żeby przybliżać internautom kulisy życia duchownych. W ubiegłym tygodniu ksiądz Chojnicki stał się ofiarą internetowego oszusta, a przez to gwiazdą portali randkowych. Fałszywy profil ze skradzionym wizerunkiem sukienkowego celebryty zaczął robić furorę na platformach Badoo i Tinder, szczególnie za sprawą próśb o nagie zdjęcia i składania propozycji seksualnych. Sprawa została zgłoszona przez księdza na policję. Cóż, sława to kapryśna przyjaciółka.

✚ Na karę ośmiu lat bezwzględnego więzienia skazał 29 listopada Sąd Rejonowy w Chodzieży (woj. wielkopolskie) Krzysztofa G., byłego księdza z tej miejscowości, za gwałty i molestowanie ministranta Szymona B. Czyny objęte aktem oskarżenia miały miejsce na przestrzeni kilkunastu lat. Krzysztof G. gwałcił i molestował Szymona B. od 2001 r. Poszkodowany miał wówczas 14 lat i był ministrantem w kościele w Chodzieży. Duchowny miał wykorzystywać poszkodowanego w różnych okolicznościach i miejscowościach, stosując wobec niego przemoc fizyczną przez kilkanaście lat. Oprócz ośmiu lat pozbawienia wolności sąd nałożył na oskarżonego 10-letni zakaz wykonywania zawodu lub działalności związanej z edukacją, wychowaniem i opieką nad małoletnimi. Wyrokiem sądu oskarżony klecha ma zapłacić także pokrzywdzonemu nawiązkę za doznaną krzywdę w wysokości 150 tys. zł. Oskarżonego nie było w sądzie w trakcie ogłaszania wyroku.

✚ Minęły trzy tygodnie od skandalu na cmentarzu we wsi Garczegorze pod Lęborkiem, podczas którego pijany proboszcz Czesław K., prowadząc pogrzeb noworodka, wybełkotał do żałobników frazę: „Aniołek śpi, to ja też spałem”. Policja wezwana na miejsce zdarzenia określiła zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu na 1,5 promila i ukarała zalanego w trupa księdza mandatem w wysokości 500 zł. Film z nagraniem wybryków księdza stał się hitem w internecie. To nie koniec sprawy. Jak podają lokalne media, ksiądz Czesław zadzwonił do rodziny zmarłego z dość osobliwymi przeprosinami: zrugał ojca dziecka za udostępnienie filmu w sieci i zarzekał się, że nie miał tylu promili, ile wskazał policyjny alkomat. Ksiądz Ireneusz Smagliński, rzecznik prasowy diecezji pelplińskiej, poinformował w oficjalnym komunikacie, że wobec trunkowego księdza Czesława zostały podjęte właściwe kroki dla dobra parafii i korekty zachowania samego duchownego.

Rys. WIDGET

✚ Ksiądz Janusz Chyła wdał się w polemikę z internautami broniącymi dzieci poczętych metodą in vitro. W ferworze dyskusji duchowny stwierdził, że Bóg kocha wszystkie dzieci, nawet te z gwałtów. I chociaż stwórca nie popiera samego przestępstwa, to nie zawiesza praw natury, kiedy do niego dochodzi. W odpowiedzi internauci zalecili księdzu Chyle wyjazd na wakacje do parafii w Dąbrowie Górniczej.

✚ Ksiądz Rafał S. z parafii w Tymbarku decyzją Sądu Rejonowego w Limanowej najbliższe trzy miesiące spędzi w areszcie śledczym. Duchowny został pilnie odwołany z funkcji wikariusza. Chodzi o przestępstwa na tle „wolno-

eprasa.pl 098835538c

Opłata za nieoglądanie

Najlepszym dowodem na to, że Platforma wróciła do władzy, są opowieści o zniesieniu abonamentu RTV.

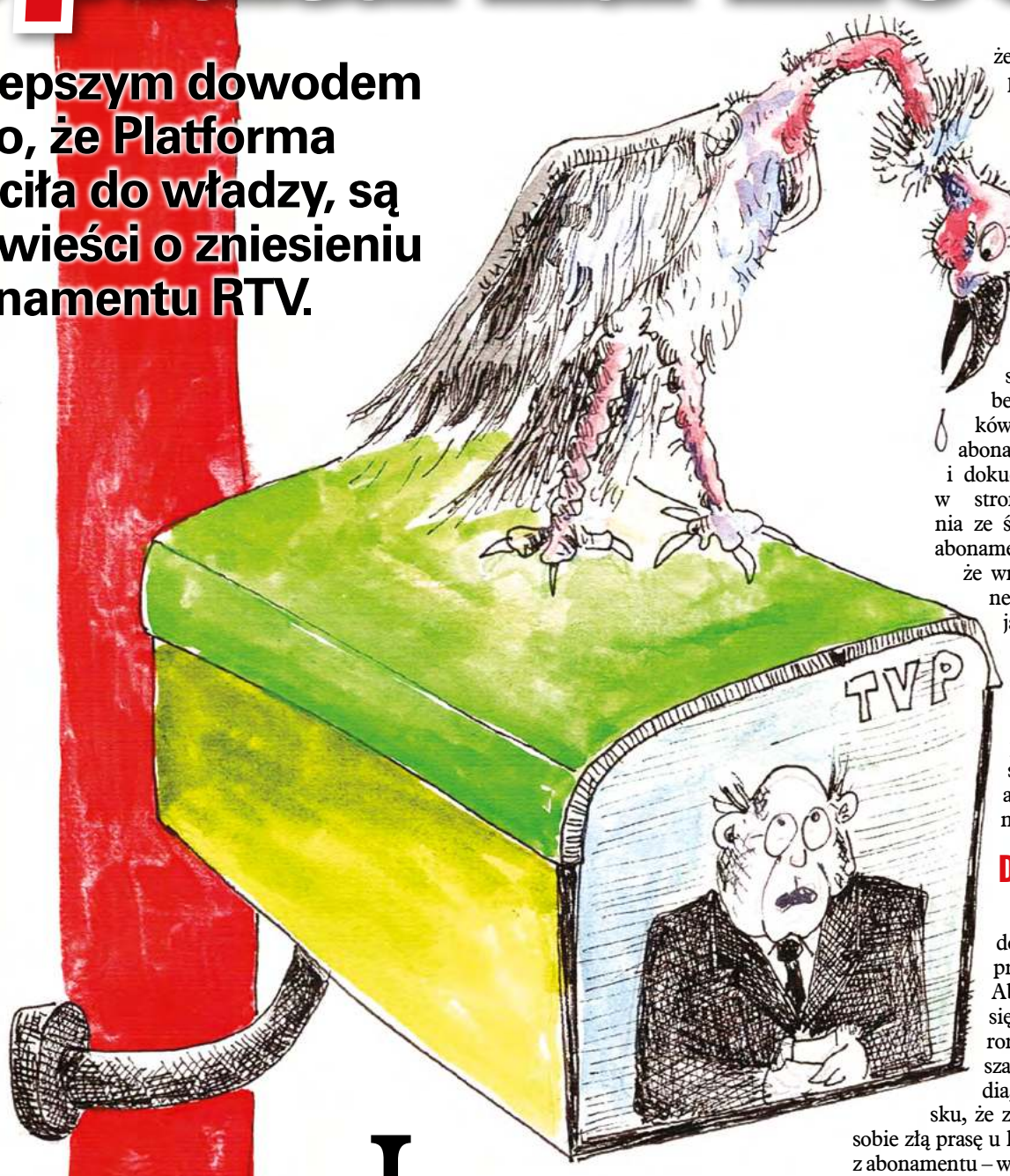

Rys. HENRYK CEBULA

Ledwo Bogdan Zdrojewski został przewodniczącym sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, wyskoczył do mediów z tekstem, po którym nawet największym miłośnikom Platformy Obywatelskiej powinny puścić zwieracze. „Jest problem z abonamentem RTV. Według mnie stał się bardzo anachronicznym i mało skutecznym instrumentem, dlatego powinien zostać zniesiony. Owszem, ściągalność abonamentu się poprawiła, ale nadal to bardzo niesprawiedliwa forma haraczu". Zdrojewski nie wie, że ten sam dowcip powtarzany po raz enty od lat zamiast entuzjazmu wywołuje wymioty?

Archaiczny haracz

Przenieśmy się do kwietnia 2008 r. Od wyborów minęło parę miesięcy. „Abonament radiowo-telewizyjny jest archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściąganym z ludzi; dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia" – zapowiedział wówczas premier Donald Tusk. „Nie do zaakceptowania – mówił – jest też sytuacja, w której we wnętrzu telewizja publiczna przypomina komercyjną m.in. ze względu na bardzo wysokie wynagrodzenia dla gwiazd ekranu, a na zewnątrz staje się publiczna tylko z tego tytułu, że ściąga haracz publiczny z ludzi".

A na dodatek Tusk ocenił, że telewizje komercyjne i komercyjne rozgłośnie radiowe pokazują, że nie trzeba ściągać dodatkowego podatku z ludzi, aby formułować atrakcyjną dla widza i radiosłuchacza ofertę programową.

Mija kilka lat. Abonamentowi nic się nie dzieje. Na jesieni 2011 r. Platforma znów wygrała wybory. Po pół roku od tamtej chwili Tusk radośnie oznajmił, że „projekt rozwiązań dotyczący finansowania mediów publicznych powinien być gotowy w najbliższych tygodniach. Zbudujemy bezpieczne finansowanie ze środków publicznych i odejdziemy od abonamentu, który jest przestarzały i dokuczliwy dla ludzi. Będziemy szli w stronę ograniczonego finansowania ze środków publicznych w miejsce abonamentu". Tusk solennie zapewnił, że wraz z ministrem kultury Bogdanem Zdrojewskim „będą starali się jak najszybciej osiągnąć finał". Dopytywany przez dziennikarzy o nachodzenie mieszkań przez kontrolerów od haraczu, wykpił się sformułowaniem że „nie potwierdza rewelacji, iż urzędy skarbowe dostały polecenie, by angażować się w egzekucję abonamentu".

Dotuj się, kto może

Dwa lata później Tusk poleciał do Brukseli, a po roku Ewa Kopacz przegrała dla Platformy wybory. Abonament w tym czasie miał się dobrze. PiS oczywiście terroryzowało wszystkich, zmuszając do płacenia na swoje media, ale potem doszło do wniosku, że zamiast kombinować i robić sobie złą prasę u ludzi, lepiej – nie rezygnując z abonamentu – wyjąć kasę z kieszeni obywatela za pośrednictwem budżetu.

Wymyślono „rekompensatę za utracone wpływy abonamentowe". Dzięki niej w latach 2017–2022 TVP dostała 7,2 mld zł, a w 2023 r. – 2,3 mld zł. Dotacja z budżetu dla Telewizji Polskiej to niejedyne źródło publicznych pieniędzy zasilających partyjną spółkę. Miliony złotych popłynęły tam także z poszczególnych resortów.

18 mln zł wydało w 2021 r. Ministerstwo Infrastruktury na kampanię w Telewizji Polskiej. Ministerstwo Klimatu podpisało z TVP umowy na 120 tys. zł na opracowanie i produkcję pięciu odcinków „Magazynu rolniczego", na 600 tys. zł – na potrzeby emisji programu „Wielki test o energii", na 480 tys. zł – na produkcję i emisję treści audiowizualnych o charakterze edukacyjnym w serialach, i 738 tys. zł – na potrzeby emisji spotu telewizyjnego „Czyste powietrze". Co najmniej 15 razy w ciągu ostatnich dwóch lat umowy z TVP zawierało też Ministerstwo Rolnictwa. Resort promował się m.in. poprzez lokowanie treści w telenoweli „M jak miłość", porannym programie „Pytanie na śniadanie" oraz w branżowym „Przeglądzie rolniczym".

Ministerstwa dawały TVP kasę oczywiście pochodzącą z podatków. A spółki skarbu państwa? Zamiast zarabiać jak najwięcej i oddawać pieniądze budżetowi albo zarabiać jak najmniej na obywatelach, zostawiając im w portfelach więcej kasy za prąd i gaz czy paliwa, zamawiały w TVP za setki milionów złotych emisje spotów reklamujących monopolistów. Znaczy reklamowano firmy, które reklamy nie potrzebują.

O zarobkach w TVP zaczęły krążyć legendy. Bohaterami stawali się reporterzy nagle liczący swój majątek w milionach.

Bój się i płać

PiS łupiło więc naród w imię TVP jak mogło. Nie zapominało jednak o abonamencie. Ten był waloryzowany co roku. I co roku pisowskie media wszczynały postrach, mówiąc raz, że do mieszkań ludzi niepłacących abonamentu wejdą kontrolerzy, raz, że ich rolę przejmą listonosze, a jeszcze innym razem – że policjanci. Nieważne, że nikt nie chodził i nie sprawdzał – ważne, że setki tysięcy ludzi płaciły abonament ze strachu.

Najnowszy – wciąż przecież pisowski – straszak to fotografowanie przez kontrolerów wnętrza samochodów, żeby udowodnić, że jest w nim radio. Media pełne są ostrzeżeń, że zgodnie z obowiązującymi przepisami kierowcy muszą opłacać abonament RTV za radio w swoim pojeździe. Brak opłaconego abonamentu może skutkować karą w postaci mandatu w wysokości 261 zł. Padają stwierdzenia, że uprawnienia te przysługują Poczcie Polskiej, natomiast sami kontrolerzy mają prawo sfotografować wnętrze samochodu firmowego przez szybę, aby udowodnić obecność radia. No i w przypadku stwierdzenia braku opłaconego abonamentu właściciel auta może otrzymać pismo z Wydziału Abonamentu RTV Centrum Obsługi Finansowej Poczty Polskiej informujące o wszczęciu postępowania administracyjnego w sprawie abonamentu RTV.

W terroryzujących ludzi newsach nie wspomina się jednak o takiej drobnostce, że aby dowiedzieć się, do kogo należy bryczka z radiem, wypada mieć dostęp do Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców. Poczta takiego dostępu nie ma. A nawet gdyby miała, to sprawdzanie, czy zarejestrowany na kogoś samochód jest przypisany do mieszkania opłacającego abonament, czy też nie, wymagałoby setek analityków. A co z radiem samochodowym w aucie leasingowanym, którego właścicielem jest nominalnie firma leasingowa? Dlatego opowiadanie o fotkach kokpitów to pic na wodę.

Wciąż jednak obowiązuje prawo mówiące, że każdy kupiony telewizor i radio powinny być zarejestrowane. Trzeba też płacić abonament za korzystanie z nich – bo to obowiązek podatkowy. Za używanie odbiornika radiofonicznego w ramach abonamentu opłata wynosi 8,70 zł za miesiąc, a za używanie odbiornika telewizyjnego albo radiofonicznego i telewizyjnego 27,30 zł za miesiąc. I jak się płaci taki zbiorczy abonament, to można mieć radyjek samochodowych do woli.

Nieoglądalność

W takich okolicznościach abonamentu Zdrojewski snuje dziś przed mediami swoją wizję. Zakłada ona, że dotychczasowy haracz mogłaby zastąpić opłata audiowizualna. „Chodzi mi o symboliczną opłatę pobieraną automatycznie od każdego w wysokości na przykład 9 zł".

Rys. OBYWATEL JANEK

Gdyby traktować Zdrojewskiego poważnie, to jeżeli w domu mieszkają cztery osoby i od każdej ściągnęłoby się 9 zł, to takie gospodarstwo domowe zapłaci za radio i telewizję 36 zł. Czyli dużo więcej niż teraz. Zdrojewski robi sobie więc z Polaków jaja.

Szczególnie że z telewizora – a nie monitora do oglądania tego, co jest w internecie – korzysta coraz mniej osób. Młodzi telewidzowie w wieku 10–29 lat jeszcze w 2007 r. stanowili 21 proc. widowni, w zeszłym roku już tylko 7 proc. Starsi widzowie, czyli 60+, stanowili 27 proc. widowni w 2007 r., a w 2022 r. – już 46 proc. Za kilka lat programy telewizyjne będą więc oglądali wyłącznie ludzie wiekowi, a za odbiornik służący do wyświetlania YouTube'a i Netflixa opłatę będzie musiał uiszczać każdy.

Dojdzie do prawdziwej paranoi, bo przecież

Zdrojewski nie odbierze zwolnienia z opłaty seniorom, którzy dziś abonamentu RTV nie muszą płacić z racji wieku. Za telewizję będą więc płacili niemal wyłącznie ci, którzy jej nie oglądają.

TADEUSZ JASIŃSKI

ści seksualnej i obyczajności". Według informacji Onetu o sprawie miał poinformować śledczych jeden z szeregowych księży pracujących w powiecie limanowskim, który zdobył wiedzę na temat występku księdza Rafała S. Był tak zbulwersowany tą wiedzą, że powiadomił równolegle kurię i nie czekając na jej zgodę, zgłosił sprawę do prokuratury. Śledztwo jest w toku.

✚ Znany z alternatywnego (nawet jak na klechów) postrzegania rzeczywistości ksiądz Michał Woźnicki zabrał głos w sprawie nowelizacji ustawy dotyczącej finansowania in vitro. „Każdy z nas ma udział w in vitro – nowy Sejm sobie to zastrzegł. […] Wśród tych głosujących za albo powstrzymujących się od głosu czy niepowstrzymujących procederu są członkowie umiłowanej dla samego ojca Rydzyka partii PiS. Chce się na instytucji Kościoła i kapłanów wymóc niezapytanie o duszę nieśmiertelną takiego tworu, który zootechnik uczynił na szkle. Zasadniczo chodzi o to, żebyśmy wszyscy mieli ręce popaprane gnojem, czyli grzechem!" – grzmiał duchowny. Śmiemy przypuszczać, że zootechnicy z ciekawością obejrzeliby księdza Woźnickiego.

KLECHA

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

eprasa.pl 098835538c

Odwieczny porządek rzeczy

Zbrodniarz wojenny, który rozumiał imperia.

Fakt, że Henry Kissinger umarł komfortowo pół roku po setnych urodzinach w swojej kolonialnej rezydencji w Kencie w stanie Connecticut, otoczony podziwem i uznaniem, więcej mówi o Ameryce niż o samym Kissingerze. Wśród ludzi żyjących w XXI w. próżno byłoby szukać kogoś, kto miałby więcej krwi na rękach, a i w XX uzbierałaby się ledwie garstka. Jeśli można znaleźć coś na usprawiedliwienie Amerykanów w tej kwestii, to fakt, że spora część postępowej inteligencji zdaje sobie z tego sprawę. I nie waha się zwerbalizować swojej opinii.

Cztery miliony ofiar

Legendarny magazyn „Rolling Stone" pożegnał patriarchę amerykańskiej dyplomacji tekstem zatytułowanym: „Henry Kissinger, zbrodniarz wojenny uwielbiany przez amerykańską klasę rządzącą, nareszcie umarł". Z nadtytułem: „Good ridance", co w luźnym tłumaczeniu znaczy „krzyżyk na drogę". Albo „baba z wozu".

W latach 1969–1976 Kissinger kształtował politykę zagraniczną USA, będąc sekretarzem stanu i doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego w administracjach Richarda Nixona i Geralda Forda. Historyk z Uniwersytetu Yale Greg Grandin w biografii zatytułowanej „Cień Kissingera" ocenia, że przez te osiem krótkich lat zmarły właśnie jastrząb neokonserwatyzmu przyczynił się do śmierci 3 do 4 mln ludzi.

Najwięcej ofiar pochłonęła oczywiście wojna wietnamska, w której Kissinger odegrał rolę nie do przecenienia. Rozpoczął od bojkotowania rozmów pokojowych prowadzonych przez demokratyczną administrację Johnsona, co miało wspomóc kampanię Nixona w 1968 r. Gdyby administracji Johnsona udało się zakończyć wojnę przed wyborami, genialny plan Nixona, którego kampania opierała się na obietnicy wyjścia z Wietnamu, trafiłby szlag. Kissinger, podówczas prominentny politolog z Harvardu, miał dostęp do wielu tajnych wiadomości z negocjacji pokojowych, które przekazywał sztabowi Nixona. Nixon, jak wiadomo, wojny nie zakończył – wręcz przeciwnie, jego polityka „pokoju z honorem", na którą Kissinger miał decydujący wpływ, przedłużyła ją o siedem lat. Dodając krzywdę do zniewagi, w 1973 r. Kissinger dostał Pokojową Nagrodę Nobla za wietnamski pokój. W zasadzie nagroda została przyznana Kissingerowi i jego północnowietnamskiemu partnerowi negocjacyjnemu Le Duc Tho, ale Le odmówił jej przyjęcia, mówiąc, że pokój nie został osiągnięty. Kissinger przyjął Nobla „z pokorą".

Teoria szaleńca

Równocześnie opracował przebiegły plan zbombardowania Kambodży i Laosu. Przez cztery lata USA zrzuciły ponad 540 tys. ton bomb w kampanii znanej jako „Operacja Menu". Rozpoczynając dywanowe bombardowanie Kambodży, Kissinger przekazał generałom rozkaz: „Rzucić wszystko, co lata, na wszystko, co się rusza". Idea była taka, żeby zniechęcić komunistów z Kambodży do współpracy z Ho Chi Minhem, a przy okazji przekonać tego ostatniego, że w Białym Domu zasiada szaleniec (sam Nixon używał terminu „teoria szaleńca" na opisanie tego, jak chciał być widziany przez przywódców komunistycznych: „Chcę, żeby północni Wietnamczycy uwierzyli, że osiągnąłem punkt, w którym mogę zrobić wszystko. Niech ktoś im powie: »Na litość boską, wiecie, że Nixon ma obsesję na punkcie komunizmu, nie jesteśmy w stanie go kontrolować, a przecież ma palec na guziku atomowym«"). Laos i Kambodża były to neutralne kraje, z którymi Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny. Amerykańskie zbrodnie wojenne w Kambodży przyczyniły się do sukcesu Czerwonych Khmerów i ich morderczych rządów.

Inne osiągnięcia Kissingera to nielegalna sprzedaż broni do Pakistanu, który przeprowadził brutalną rozprawę z bengalską ludnością w 1971 r.; popierany przez CIA zamach stanu, który obalił demokratycznie wybrany socjalistyczny rząd w Chile w 1973 r. i rozpoczął krwawe rządy Pinocheta; zielone światło dla indonezyjskiej dyktatury Suharto i jego inwazji na Timor Wschodni w 1975 r.; wsparcie puczu, który obalił argentyńską prezydent Isabel Perón i rozpoczął brudną wojnę przeciwko dysydentom i lewicowcom w 1976 r. Polityka zagraniczna administracji Forda podsycała także wojny domowe w Afryce, głównie w Angoli.

Chiny: konfucjanizm, nie komunizm

Filozofia państwowa Henry'ego Kissingera opierała się na koncepcji: duży może więcej. Największa w jego oczach była oczywiście Ameryka, toteż jego moralne przyzwolenie na imperialną politykę USA było bezgraniczne i niezależne od ofiar. Ale w tym miejscu warto zauważyć, że wyrozumiałość Kissingera sięgała poza jego własny kontynent. W ostatnich latach wykazał dalece idącą oryginalność – a także sporą odwagę – w swoim myśleniu o Chinach i Rosji.

W maju, z okazji swoich setnych urodzin, Henry Kissinger udzielił obszernego wywiadu tygodnikowi „The Economist". Wywiad był w tonie cokolwiek alarmistycznym: generalny przekaz był taki, że USA i Chiny mają pięć, może 10 lat na pokojowe ułożenie swoich stosunków i nowego porządku światowego, a potem będzie za późno. Że szaleńczy postęp techniczny doprowadzi do sytuacji, w której potęgi będą w stanie zniszczyć się nawzajem i nikt nie będzie mógł tego zatrzymać.

Kissinger przekonywał, że strach przed Chinami jest przesadny, gdyż nie mają one ambicji opanowania świata, że logika ich polityki międzynarodowej jest bardziej konfucjańska niż komunistyczna, a już na pewno „nie pragną światowej dominacji na modłę Hitlera". Xi Jinping nie pragnie upadku USA, tylko tego, żeby Stany uznały Chiny za równorzędne mocarstwo. Równocześnie nestor amerykańskiego imperializmu przekonywał, że jakiekolwiek nadzieje na demokratyzację Chin na modłę zachodnią są pozbawione podstaw, a także głupie. Że upadek KPCh przyniósłby wojnę domową i niestabilność w regionie, a w dłuższej perspektywie – na całym świecie, co nie jest w interesie USA.

Katastrofalny błąd Putina

Także jeśli chodzi o Rosję, jego poglądy były dość oryginalne. Przez wiele lat przekonywał, iż Rosja ma uzasadniony interes w domaganiu się ukraińskiej neutralności. Atak z 24 lutego 2022 r. był w wykonaniu Putina „katastrofalnym błędem w ocenie", ale Kissinger – jako jeden z niewielu – miał odwagę powiedzieć coś, co jest równie oczywiste, jak i niecenzuralne: że Zachód jest współodpowiedzialny za tę sytuację. „Uważałem, że decyzja o pozostawieniu otwartego członkostwa Ukrainy w NATO była bardzo błędna. Doprowadziła do destabilizacji: Ukrainie obiecywano ochronę ze strony NATO, ale nie było planu jej realizacji. Ukraina była więc bezbronna, a Rosja rozwścieczona" – wyznał.

Po kilkunastu miesiącach wojny ta sytuacja – powiada Kissinger – jest już inna. Dlatego teraz przyjęcie Ukrainy od NATO jest koniecznością, z tym że jego uzasadnienie było zgoła inne niż moralizujące opowieści zachodniej klasy politycznej. Zdaniem Kissingera członkostwo Ukrainy w Sojuszu Północnoatlantyckim miało służyć głównie kontrolowaniu jej przez Zachód: „Uzbroiliśmy Ukrainę do tego stopnia, że będzie ona jednym z najlepiej uzbrojonych krajów, a jednocześnie ma najmniej doświadczone strategicznie przywództwo w Europie". Równocześnie Kissinger stanowczo nie podzielał opinii, że wojna ma się toczyć „do pełnego zwycięstwa". Uważał, że trzeba ją zakończyć jak najszybciej, że pewne koncesje ze strony ukraińskiej są nieuniknione i Federacja Rosyjska musi zachować co najmniej Sewastopol.

A także, że Europa musi odbudować stosunki z Rosją i znaleźć sposób na zapewnienie sobie stabilnej granicy wschodniej. Nowa struktura bezpieczeństwa w Europie Środkowej i Wschodniej nie powstanie, jeśli nie znajdzie się w niej miejsce także dla Rosji.

Ukraść krowę Ameryce

Interesujący jest również fakt, że Kissinger, bodaj jako jedyny liczący się komentator amerykański, traktował serio chiński plan pokojowy dla Rosji i Ukrainy. Uważał, że Chinom zależy na tym, żeby Rosja wyszła z tej wojny bez nadmiernego szwanku, co czyni je akceptowalnym dla Putina partnerem. Przekonywał też, że chiński udział w negocjacjach będzie okazją do zbudowania minimum wzajemnego zaufania między ChRL i kolektywnym Zachodem, co jest niezbędne do ocalenia świata przed zagładą.

Ten strategiczny, wolny od moralnych uniesień punkt widzenia był typowy dla całego politycznego myślenia Kissingera. Opierał się na przekonaniu, że mocarstwa mają prawo do ochrony swoich interesów, które nie przysługuje krajom mniej ważnym. Trudno nie mieć etycznych zastrzeżeń do tego punktu widzenia, ale przynajmniej w swoim cynizmie Henry Kissinger był wolny od myślenia Kalego, które jest dziś chorobą całego zachodniego świata.

Filozofia kolektywnego Zachodu sprowadza się dzisiaj do tego, że kiedy Ameryka ukradnie komuś krowę, robi to w imię pokoju i demokracji, kiedy zaś ktoś próbuje ukraść krowę Ameryce, zasługuje na najwyższe potępienie. Kissinger uważał, że mocarstwa mogą sięgać po cudze krowy, bo taki jest odwieczny porządek rzeczy.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Refleksje o Polityce

Zmarły 29 listopada w wieku 100 lat Henry Kissinger reprezentuje rzadkie już w naszych czasach połączenie męża stanu i uczonego. W obu rolach na najwyższym światowym poziomie. Do polityki wszedł raczej późno, już był profesorem Uniwersytetu Harvarda, historykiem, wybitnym i wnikliwym. Potwierdził starą prawdę, że wiedza historyczna jest dla polityka absolutnie niezbędna, z niej wypływa źródło tej mądrości, która odróżnia męża stanu od wiecowego demagoga i amatora władzy nad ludźmi. Wyznacznikiem jego osiągnięć naukowych, dziełem życia pozostanie fundamentalna monografia „Dyplomacja" (1994), a szczytem politycznych – zakończenie wojny wietnamskiej i pojednanie Stanów Zjednoczonych z Chińską Republiką Ludową. Oba te osiągnięcia pozostają w związku, wspierają się. Kissinger uczony tworzył i rozwijał teorię realizmu politycznego, a w roli polityka, dyplomaty (doradcy prezydentów Johna F. Kennedy'ego i Lyndona Johnsona oraz sekretarza stanu za prezydentur Richarda Nixona i Geralda Forda) błyskotliwie ją realizował. Jego „Dyplomacja" powinna być obowiązkowym vademecum każdego ambitnego polityka.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 098835538c

Kissingerze.

k realny

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

1.

Podstawowy dylemat rozważany przez Kissingera mieści się w relacji zasad moralnych, najogólniej biorąc, ideowych, wynikających z wyznawanego systemu wartości, do Realpolitik, czyli rachunku państwowych i narodowych interesów. Ideałem byłaby równowaga tych czynników i tak chciał widzieć własną politykę, i tego oczekiwał od polityki Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. W konkretnych analizach Kissingera z reguły jednak wygrywa Realpolitik – uchybianie jej regułom okazuje się kosztowne, nawet zgubne. Mistrzami Realpolitik dla niego byli Richelieu, Metternich, Bismarck i… Stalin, po części Churchill. „Dla Bismarcka – pisze – Realpolitik oparta była na elastyczności i umiejętności wykorzystania każdej dostępnej opcji bez ograniczeń wynikających z ideologii". Aby to wyjaśnić, przytoczył charakterystyczny, choć niezbyt istotny epizod z biografii żelaznego kanclerza. W latach 1856–1859 młody Bismarck jako pruski ambasador w Związku Niemieckim opowiedział się za ociepleniem stosunków z Francją Napoleona III, by osłabić pozycję Austrii jako rywala Prus w walce o hegemonię w Niemczech. Wprawił tym w oburzenie swych konserwatywnych i legitymistycznych przyjaciół ideowych, dla których Napoleon III był zwyczajnym uzurpatorem i spadkobiercą znienawidzonej rewolucji. Odpierając zarzuty o sprzeniewierzenie się zasadom, pisał do gen. Leopolda von Gerlacha, swojego mentora i protektora: „Jako romantyk mogę zapłakać nad losem Henryka V (burbońskiego pretendenta)… Byłbym jego sługą, gdybym tylko był Francuzem, ale ponieważ nie jestem, Francja pozostaje dla mnie, niezależnie od przypadkowego kierownictwa, pionkiem… w grze, w której jedynym moim obowiązkiem jest służba mojemu królowi i mojemu krajowi".

2.

Wzorem Realpolitik jawi się dla Kissingera kongres wiedeński z 1816 r. i Święte Przymierze, jej zaprzeczeniem – polityka Thomasa Woodrowa Wilsona i traktat wersalski z 1919 r. „Wynikiem wojen napoleońskich – pisał – był wiek pokoju opartego na równowadze. Wynikiem I wojny światowej były niepokoje społeczne, konflikt ideologiczny i kolejna wojna światowa". Traktat wersalski cechowała naiwna wiara w zbiorowe bezpieczeństwo, a ponadto nadmierna represyjność. Niemcom odebrano 13 proc. terytorium, w tym ważny gospodarczo Górny Śląsk i pomorski korytarz na rzecz Polski. Traktat okazał się „zbyt ostry, by ułagodzić, a nazbyt łagodny, by powstrzymać Niemcy przed odrodzeniem się" i w rezultacie stał się zarzewiem nowej wojny. Niewypałem okazała się też proklamowana przez Wilsona zasada samostanowienia narodów. W Europie Środkowej i na Bałkanach powstały państwa wyjątkowo niestabilne. Polska i Czechosłowacja miały jedną trzecią ludności obcej etnicznie. Rażącym błędem była Jugosławia, płód marzeń południowosłowiańskich intelektualistów. Potrzeba było nowej wielkiej wojny i dziesięcioleci zimnej wojny, aby te błędy sprostować.

3.

Kissinger sądzi, że bezpośrednią przyczyną zimnej wojny było przeciągnięcie struny przez Stalina. Umiarkowaną zależność od ZSRR państw Europy Środkowej mocarstwa zachodnie gotowe były tolerować, a inwazji ZSRR na Europę Zachodnią nie brały poważnie pod uwagę. Dopiero satelizacja krajów demokracji ludowej – co według Kissingera nastąpiło dopiero w 1947 r., wcześniej Stalin wahał się między wariantem finlandyzacji a satelizacji – przesądziła, że Zachód poczuł się serio zagrożony. Zapadły decyzje o planie Marshalla, opracowano doktrynę powstrzymywania: „W końcu praw geopolityki nie udało się ominąć. Ameryka została ponownie wciągnięta do Europy. Dla przywrócenia równowagi sił odbudowano Japonię i Niemcy. Związek Radziecki wyruszył w trwającą czterdzieści pięć lat drogę napięć i nadmiernego strategicznego rozproszenia sił, co doprowadziło do jego ostatecznego upadku".

4.

Obok przewagi gospodarczej i technologicznej czynnikiem, który w opinii Kissingera w istotnej mierze zaważył na wyniku zimnej wojny, stały się Chiny, a w szczególności ich wybicie się na pozycję samodzielnego, zdystansowanego od ZSRR mocarstwa. Stany Zjednoczone długo nie rozumiały Chin komunistycznych i ich polityka w tym regionie roiła się od błędów. Zarówno wojnę koreańską, jak i później wietnamską traktowano w Waszyngtonie jako efekt globalnego spisku sterowanego z Moskwy i zmierzającego do opanowania Azji oraz Pacyfiku. Nie zdawano sobie sprawy, że inicjatorem ataku na południe Korei w 1950 r. był Kim Ir Sen, który długo musiał zabiegać o zgodę Stalina. Mao Zedong zaś zdecydował się interweniować dopiero wówczas, gdy wojska generała Douglasa MacArthura wychodziły nad graniczną rzekę Jalu. Kissinger sądził, że wystarczyło zatrzymać się 150 km od granic Mandżurii, w najwęższym miejscu Półwyspu Koreańskiego, aby rozwiać obawy Chin i uzyskać porozumienie na znacznie korzystniejszych warunkach niż później w Panmundżonie. Podobnie 20 lat później dopiero administracja prezydenta Nixona dzięki dociekliwości i realizmowi Kissingera zorientowała się, że cele Chin w Wietnamie są odmienne od radzieckich. Nie ideologiczne, komunistyczne, lecz wyłącznie mocarstwowe, nacjonalistyczne. Pozwoliło to Stanom Zjednoczonym nie tylko wycofać się z wietnamskiego bagna, lecz na trwałe ułożyć stosunki z Chinami i wywołać gruntowną zmianę światowego układu sił, odbierając ZSRR znaczną część korzyści uzyskanych po II wojnie światowej. Autorem i w znacznym stopniu realizatorem tego dziejowego zwrotu był sam Kissinger.

5.

Ostatnie rozdziały „Dyplomacji", poświęcone końcowi zimnej wojny i upadkowi ZSRR, mają dwóch bohaterów: Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa. Reszta pretendentów do chwały to w oczach autora raczej szczęśliwi beneficjenci historycznych okoliczności. Reagan zdołał po prostu zmęczyć ociężały już Związek Radziecki i wywołać tam silne poczucie konieczności zmian. Kissinger, który nie ceni zbytnio walorów intelektualnych Reagana, zapytuje: „Czy Reagan autentycznie rozpoznał słabości Związku Radzieckiego, czy też był to szczęśliwy zbieg okoliczności, w których jego upór trafił na wyjątkowo podatny grunt?". I odpowiada: „Z punktu widzenia skutków to nie miało znaczenia". Ale to nie wystarczyło. Musiał jeszcze pojawić się Gorbaczow, który „w istocie dokonał jednej z najbardziej znaczących rewolucji w swej epoce. Zniszczył partię komunistyczną… w konsekwencji zrujnował imperium, które wznoszono mozolnie przez stulecia". Nic takiego nie było oczywiście jego zamiarem. Dążył do modernizacji, a nie do wolności, chciał, aby partia komunistyczna przystosowała się do świata zewnętrznego, spowodował jednak upadek systemu, który go ukształtował i któremu zawdzięczał swe wyniesienie. Gorbaczow podjął zadanie zapewne nierozwiązywalne, zasługuje jednak, mimo klęski, na uznanie „już choćby za to, że chciał stawić czoła radzieckim dylematom". Kissinger zdaje się nie mieć wątpliwości, że bez ryzykownych reform Gorbaczowa pogrążający się w stagnacji i słabnący Związek Radziecki mógł jeszcze trwać przez pewien czas i przysporzyć niemało kłopotów.

Kissinger swoim intelektem i talentem organizatorskim przez lata obsługiwał imperialną politykę USA. Wziął na swe sumienie wiele nikczemnych i zaborczych poczynań tego państwa, ale w decydujących, najważniejszych kwestiach nie rozpalał konfliktów, lecz je gasił. Preferował – zgodnie z zasadą Realpolitik – kompromis, a nie wyniszczającą wojnę. W tym duchu też doradzał kolejnym administracjom już na emeryturze politycznej, ostatnio w kwestii wojny na Ukrainie. Komitet Noblowski nie pomylił się, przyznając mu Pokojową Nagrodę Nobla (1973).

6.

Na koniec słów parę o polonikach w „Dyplomacji". Liczne wydarzenia i osobistości, które nad Wisłą obrosły legendą, nie zostały przez Kissingera nawet wspomniane, inne zaś oświetlił zupełnie inaczej niż tu przyjęte. O pewnych sprawach już wspomniałem, m.in. o kongresie wiedeńskim, o polityce Wilsona i postanowieniach wersalskich z 1919 r. Z polskich powstań narodowych Kissinger zajmuje się tylko styczniowym, ale w kontekście... zgubnego wpływu, jaki poparcie dla tego powstania miało dla Francji Napoleona III. Powstania warszawskiego nawet nie zauważa. W obszernych rozważaniach o II wojnie światowej Polska jako liczący się podmiot polityczny zajmuje sporo miejsca w związku z wybuchem wojny, czyli wydarzeniami 1939 r. Później pojawia się już jedynie jako przedmiot sporów i decyzji wielkich mocarstw. W okresie powojennym obszerniej i odrębnie analizowany jest polski rok 1956, nieco skromniej 1989, głównie jako fragment szerszego procesu rozpadu radzieckiego imperium, w każdym razie nie w roli inicjatora tego procesu.

W indeksie nazwisk, bardzo obszernym, nie znajdziemy Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Ignacego Mościckiego, Józefa Becka, Władysława Sikorskiego, nawet Ignacego Paderewskiego i Jana Pawła II. Z polityków polskich pojawiają się Władysław Gomułka (pięć razy), Wojciech Jaruzelski (dwa razy) i po razie Adam Rapacki oraz Lech Wałęsa. Polska promocja „Dyplomacji" odbyła się w 1997 r. w sali Kolumnowej sejmu. Uczestniczyłem w niej. Już po zakończeniu w szatni

usłyszałem przypadkowo opinię dwóch bardzo prominentnych polityków posolidarnościowych. Ujęcie przez Kissingera spraw polskich według nich zakrawało na skandal. Nie podzielałem tej opinii. Odbierałem je jako trzeźwiący prysznic na polską pyszałkowatość.

Warto wiedzieć, jak z perspektywy globalnej, oglądanej oczyma wybitnego polityka amerykańskiego, rysują się nasze polskie sprawy. Jest to zapewne obraz bliski ich rzeczywistemu wymiarowi. Jan Karski starał się tę prawdę rodakom uświadomić, dla Kissingera to po prostu oczywistość. Nie brzmi to przyjemnie, ale na pewno pouczająco.

ANDRZEJ WERBLAN

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ W wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" Maksym Timczenko, dyrektor największego ukraińskiego prywatnego koncernu energetycznego (należącego do najbogatszego ukraińskiego oligarchy Rinata Achmetowa), przyznaje: „Personel naszych elektrowni działa w kooperacji z wojskiem. Pomagamy im, zapewniając specjalne punkty przechowywania systemów obrony przeciwlotniczej i paliwa do nich. Dużą wagę przywiązują do tego prezydent i rząd. […] Widzimy nowy sprzęt wojskowy rozmieszczony w pobliżu elektrowni". Ciekawe, co powiedzą wszyscy dotychczas jednoznacznie określający ataki na elektrownie jako uderzenie w infrastrukturę cywilną, którego jedynym celem jest pozbawienie Ukraińców światła i ogrzewania.

☆ Wołodymyr Zełenski podpisał budżet państwa na przyszły rok. Dochody mają planowo wynieść 1,76 bln hrywien (47 mld dolarów), a wydatki na wojsko 1,69 bln hrywien (96 proc. budżetu). Wypłata pensji i emerytur oraz działalność wszelkich usług publicznych, w tym systemu edukacji i służby zdrowia, będzie uzależniona od wysokości ewentualnej pomocy międzynarodowej. Przez taką dziurę budżetową zdoła przejechać nawet rosyjski czołg.

☆ Polskie firmy biją rekordy w imporcie sklejki z Kazachstanu i Turcji – donosi „Newsweek". Nadwiślańscy importerzy przekonują, że sklejka wyrosła na kazachskich stepach. Eksperci, iż intensywnie pachnie syberyjską brzozą.

☆ Prezes ukraińskiego Stowarzyszenia Przewoźników Międzynarodowych Władimir Michalewicz oraz jego zastępca Władimir Balin całkiem poważnie oskarżyli strajkujących transportowców o spowodowanie śmierci dwóch ukraińskich kierowców poprzez narażanie ich na przewlekły stres. „Zostałem poinformowany, że nasz kierowca, który przez prawie trzy dni stał w kolejce do przekroczenia granicy, zginął w nocy na parkingu w pobliżu Korczowej" – stwierdził prezes stowarzyszenia. Kierowca nie zginął, tylko zmarł. Nie na przejściu w Korczowej, lecz w leżącym ok. 70 km od granicy Kosinie. Drugi kierowca zmarł również nie na przejściu granicznym, lecz w Chełmie, a w jego samochodzie, jak podało radio RMF FM, znaleziono niedopitą butelkę alkoholu.

☆ Brytyjski tygodnik „The Economist" opublikował tajne sondaże przeprowadzone na zlecenie ukraińskiego rządu. Wynika z nich, że m.in. wskutek afer korupcyjnych zaufanie do prezydenta Zełenskiego spadło do 32 proc. Dość słabo jak na przywódcę wolnego świata.

☆ Premier Słowacji Robert Fico odbył pierwszą rozmowę ze swym ukraińskim odpowiednikiem Denysem Szmyhalem. W oficjalnej relacji z rozmowy przekazano, że Fico poinformował Szmyhala, iż Słowacja nie będzie dostarczać Ukrainie broni i amunicji, ponieważ Słowacy nie wierzą w militarne rozwiązanie konfliktu na Ukrainie, a jego podsycanie prowadzi jedynie do niepotrzebnego rozlewu krwi bez żadnych rezultatów. Fico dodał, że interesy Ukrainy i Słowacji są sprzeczne w pewnych aspektach, zatem „będziemy dalej zakazywać importu ukraińskich produktów rolnych na słowackie terytorium, bo inaczej działalibyśmy przeciwko naszym rolnikom". Z drugiej strony Fico zadeklarował wsparcie m.in. ukraińskiego sektora wydobywczego, gdyż współpraca w tym zakresie może przynieść korzyści obydwu stronom. Brzmi niepokojąco rozsądnie.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 098835538c

Rzeczpospolita Polska ma potężny problem z usługami erotycznymi.

Seks opodatkowany

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Prezerwatywy – jak wiadomo – służą do przemycania narkotyków oraz uprawiania seksu bez konsekwencji chorobowych lub ciążowych. W związku z tym są dla państwa wyrobami medycznymi. Te zaś obłożone są 8-procentowym VAT-em. Dlaczego zatem za supercienkie prezerwatywy fiskus winszuje sobie 23 proc. VAT, a za takie z potęgującymi doznania wypustkami 8 proc.? Lubrykanty chroniące przez obtarciem błony śluzowej bądź skóry w trakcie seksu nie są wyrobami medycznymi. I dlatego VAT za nie wynosi 23 proc. Jeśli komuś wydaje się, że to się nie trzyma kupy, to zapewniam, iż to ledwie przygrywka do seksualnych zagrywek polskiego systemu podatkowego.

Stawka zero

Zgodnie z ustawą o PIT prostytucja jest nieopodatkowana. Ale wcale nie dlatego, że seks za kasę to coś, czym państwo się brzydzi, ale dlatego że „nierząd nie może być przedmiotem prawnie skutecznej umowy". Dlaczego nie może, pozostaje słodką tajemnicą hipokryzji polskiej polityki. Za Odrą bowiem nie tylko może, ale nawet jest. Tak jak w Holandii, Grecji czy nawet Turcji.

Tego, że prostytutki nie podlegają ustawie o PIT, od lat dowodzą interpretacje skarbówki. Te z reguły pojawiają się, gdy jakaś pani pragnie nabyć mieszkanie za gotówkę. Tej gotówki jednak nie ma prawa mieć, bo do zeznań podatkowych szmalcu od klientów wpisywać nie musi.

Dla urzędnika sytuacja, gdy ktoś płaci hajsem, którego nie ma prawa mieć, podpada pod pranie brudnych pieniędzy. W takich sytuacjach każdy skarbowiec musi zażądać 75-procentowego podatku od przychodów z nieujawnionych źródeł.

Za komuny i na początku lat 90. w takiej sytuacji wystarczyło napisać oświadczenie, że kaska pochodzi z nierządu. Kiedy jednak w obiegu pojawiło się mnóstwo lewej kasy, która w ten sposób miała być uwiarygadniana, sądy i skarbówka powiedziały: „sprawdzam". I teraz do skarbówki trafiają wnioski o indywidualną interpretację zaopatrzone w pikantne załączniki.

Jak choćby od pani, która na początku, jeszcze jako studentka, pozyskiwała klientów przez portal erotyczny. Było ich ponad stu. Za spotkanie, podczas którego świadczyła usługi seksualne, płacili od 400 zł do 1 tys. zł. Cena zależała od kilku czynników, takich jak rodzaj usługi, czas spotkania czy wiek klienta.

Potem kobieta zmieniła technikę działania i stała się prostytutką dla VIP-ów. Ma kilku zamożnych klientów, którzy płacą abonament. Weszła z nimi w poważniejsze relacje i oferuje im bardzo szeroki wachlarz usług. Oprócz spotkań w mieszkaniu czy w hotelach wyjeżdżają wspólnie np. nad morze. Kobieta załączyła dowody potwierdzające jej słowa. Korespondencję mailową, esemesy, dowody przelewów na konto, zdjęcia, rachunki za hotele i bilety. Była też gotowa podać dane osobowe niektórych klientów.

Wykonywanie przez nią usług seksualnych uwiarygodniała również bogata kolekcja zabawek oraz znaczna ilość strojów, butów i bielizny erotycznej. Dyrektor Krajowej Informacji Skarbowej nie miał pytań. Bez wahania wystawił kobiecie kwit, że od tak zarobionej forsy państwo nie może żądać ani grosza, a pieniędzmi tymi może ona płacić, za co jej się tylko spodoba. Bo to czyste pieniądze.

Stawka 75 proc.

Inna kobieta też kupiła mieszkanie. Skarbówka wsiadła na nią z pytaniem, skąd miała forsę. Kobieta na to, że z nierządu. Sprawa trafiła do sądu. Tam kobieta podtrzymała twierdzenie, że kasa na zakup mieszkania pochodziła z kwot otrzymywanych przez 10 lat za uprawianie seksu z jej znajomym – poprzednim właścicielem lokalu. Dodała też, że za seks otrzymywała pieniądze, a także prezenty, takie jak perfumy i odzież. Facet przed sądem zeznał, że nie wie, czy nawiązywanie kontaktów intymnych było dla skarżącej źródłem zarobkowania i uzyskiwania korzyści majątkowych. Sąd na takie plewy się nie złapał i nie doszedł do wniosku, że łącząca ją ze znajomym relacja miała charakter nierządny. Szczególnie podpadło sądowi to, że przez 10 lat świadczenia gościowi usług seksualnych stawki za to nie uległy zmianie. Kobietę dobiło to, że po tych 10 latach prostytuowania się stworzyła z tymże facetem związek partnerski i od tej pory razem pomieszkiwali.

Nic dziwnego, że sąd uznał, że cwana babka była faktycznie konkubiną mężczyzny, którego określała jako swojego sponsora. A poniesione przez podatniczkę wydatki zostały pokryte dochodami nieznajdującymi pokrycia w ujawnionych źródłach przychodu. I dlatego pani zapłaciła 75 proc. podatku od kwoty, którą miała zapłacić swojemu facetowi za mieszkanie, gdzie potem razem mieszkali.

Stawka – 23 proc.

Zupełnie inna prostytutka też bała się, że skarbówka zakwestionuje posiadane przez nią oszczędności. Napisała wniosek o interpretację podatkową właśnie w takiej hipotetycznej sytuacji. Urzędnik robił, co mógł, by się tego nie podjąć, i dopiero po wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, do którego zwróciła się kobieta, musiał się nad tą sprawą pochylić. A miał nad czym, bo kobieta załączyła wszystkie wpłaty od klientów, które otrzymywała na konto przez ostatnie dziewięć lat. Do tego oryginały zdjęć, publikowane na prostytutkowych portalach internetowych z zamazaną twarzą. A ponieważ usługi świadczyła w wynajmowanych pokojach lub hotelach, to przedstawiła na to faktury i rachunki. Ba, wydrukowała też wystawiające jej opinię komentarze klientów pod ogłoszeniami.

Urzędnik skarbówki był widać z tych od klauzuli sumienia. Opatrzył bowiem interpretację takim twierdzeniem: „Przedmiotem prawnie skutecznej umowy nie mogą być zachowania, które ze swej istoty są sprzeczne z prawami przyrody, ustawą lub zasadami współżycia społecznego i w konsekwencji w ogóle nie mogą być określone w treści ważnej i wywołującej zamierzone skutki umowy", co miało znaczyć, że podatku PIT pani ma nie płacić i tego 75 proc. – też.

Ale potem już tak różowo dla niej nie było. Okazało się, że wyłączenie z opodatkowania PIT nie jest tożsame z wyłączeniem z opodatkowania VAT. Tymczasem z orzecznictwa jasno wynika, że w przypadku prostytucji mamy do czynienia z działalnością gospodarczą podlegającą opodatkowaniu, i gdy wartość sprzedaży przekracza kwotę 200 tys. zł, to świadczone usługi muszą zostać opodatkowane 23-procentową stawką VAT. Rachunki z jednego udokumentowanego przez kobietę roku tę kwotę przekraczały.

Stawka 12 + 23 proc.

Praca prostytutki polega z grubsza na tym, że robi to, co każe jej – o ile go stać – klient. Jak się każe rozebrać, to się rozbiera. Jak każe zademonstrować to czy owo czy ustawić się w jakiejś pozycji, ona to robi. Bo generalnie przyjęło się, że osoba wykorzystująca swoje wdzięki, świadcząca innej osobie usługi mające wywołać satysfakcję seksualną, zajmuje się prostytucją. Tak też myślała sobie kobieta z Katowic. Chciała być jednak pewna, więc skrobnęła wniosek o interpretację podatkową. Potrzebowała potwierdzenia, że nie musi płacić podatków. Tym jednak, co odróżnia tę panią od opisanych poprzednio, jest fakt, że działała w internecie, a klientów widziała tylko na ekranie. Oni ją zresztą też.

Skarbówka pogłówkowała i wyszła z założenia, że prostytucja, czyli nierząd, to oddanie własnego ciała klientowi w celu osiągnięcia przezeń zaspokojenia seksualnego i pobieranie za to wynagrodzenia. Tymczasem, zdaniem fiskusa, prowadzona przez kobietę działalność polegała w istocie na udostępnianiu klientom nie ciała, lecz obrazu z własnych interaktywnych erotycznych występów. I dlatego musi być opodatkowana podatkiem dochodowym od osób fizycznych oraz podatkiem VAT!

Stawka 12 proc.

Mężczyzna, który nagrywa stosunki seksualne ze swoim partnerem, tej interpretacji widać nie znał. Pewnie dlatego – za zgodą partnera – publikował nagrania w serwisach pornograficzno-erotycznych. Takich oferujących możliwość wykupienia dostępu do pojedynczego filmu albo subskrypcji. Prowadził też czaty na żywo, w czasie których widzowie mieli możliwość anonimowego obserwowania jego czynności seksualnych oraz wysyłania mu napiwków.

Mężczyzna chciał być w porządku z fiskusem, więc napisał do skarbówki. I dopiero wtedy dowiedział się, że przychody z publikowania w serwisach internetowych amatorskich transmisji z alkowy podlegają opodatkowaniu podatkiem dochodowym od osób fizycznych. Nie ma mowy o prostytucji, lecz o pornografii, bo do dyspozycji klienta oddaje on jedynie zarejestrowany przez kamerę internetową obraz ciała swojego i partnera. Kontakt jest pozbawiony możliwości np. dotyku, a jedynie wirtualny. Jednak o płaceniu VAT interpretacja nic nie wspominała.

Stawka pomniejszona

Ona pochodzi z małej wsi i zawsze chciała się wyrwać z biedy. Trafił się on – zamożny, starszy, z dobrze prosperującą firmą. Pobrali się. Teraz ona dostaje od niego wikt, opierunek i pieniądze. W zamian zaspokaja jego potrzeby w łóżku i pełni funkcję reprezentacyjną, a jest niezłą laską. Czasem żali się, że on nie chce kupić lampy za 6 tys. zł czy lokówki za 4 tys. zł, więc ona w razie czego nie będzie uprawiać z nim seksu.

Jakim słowem można opisać osobę, która wychodzi za mąż za pieniądze, wiedząc, że jedyną zaletą, dla której jej kandydatura brana była pod uwagę, jest jej ciało? Czy seksualność nie jest w takim przypadku towarem? Towarem zakupionym czy może wydzierżawionym raz – i na dłuższy czas – ale wciąż towarem? W literaturze taka – nader częsta w gospodarce rynkowej – sytuacja nosi nazwę prostytucji małżeńskiej. Tymczasem art. 18. konstytucji mówi, że małżeństwo znajduje się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej. Takie małżeństwo też. I dzięki żonie zabawce seksualnej małżeństwo może rozliczać się wspólnie, a zarabiający mąż płaci o wiele mniejszy podatek PIT.

TADEUSZ JASIŃSKI

Hipokryzja nie popłaca

Istnieją kraje, w których tak zwany nierząd zalegalizowano. Należą do nich m.in. Holandia, Niemcy, Dania, Węgry, Austria, Szwajcaria, Grecja czy Turcja. Prawie 40 proc. wszystkich duńskich prostytutek odprowadza od działalności podatek dochodowy w wysokości 19 proc. Dania zdecydowała się na legalizację prostytucji w 2000 r. i od tego czasu prostytutki działają jako samozatrudnione. W Niemczech pracuje 300 tys. prostytutek, a rynek wart jest 18 mld dol.

W Bonn stoją przeznaczone dla prostytutek automaty podatkowe. Z tego tytułu do budżetu miasta wpływa rocznie 400 tys. euro.

Szacuje się, że pracująca w Polsce prostytutka, przyjmująca klientów średnio 15 dni w miesiącu, może liczyć nawet na 9 tys. zł zarobku. Gdyby takie dochody zostały opodatkowane, to każda z tych kobiet co miesiąc odprowadzałaby setki złotych podatku dochodowego i jeszcze więcej na składki na ubezpieczenia społeczne. Osób trudniących się prostytucją mamy ok. 150 tys. T.J.

ETYKA BEZBOŻNA

Czemu zabi

Zło społeczne ma to do siebie, że winni są wszyscy. I nikt konkretnie. Ot, wydarza się, i to wydarza na oczach ludzi, lecz jakoś brakuje chęci, odwagi, determinacji, żeby mu się przeciwstawić. Dopiero gdy już się stanie, robi się nam głupio. Czyli wstyd po prostu.

Nie byłem w Andrychowie tego dnia, gdy gdzieś za sklepem Aldi na zmrożonej ziemi siedziała, a potem leżała ciężko chora czternastoletnia Natalka. Przeszło koło niej pewne kilkadziesiąt osób, ale jakoś nie odważyli się pomóc. A może po prostu nikomu się nie chciało? Gdy pomoc w końcu nadeszła, było już za późno. Dziewczynka zmarła w szpitalu w Krakowie. Wszyscy o tym czytaliśmy. I pewnie wszyscy byliśmy oburzeni i zawstydzeni. Ale czy mamy pewność, że akurat my zachowalibyśmy się jak trzeba? Ja mam prawie pewność. Ale tylko prawie. Prawie, jak wiadomo, robi różnicę. Dlatego nie stawiam się w roli sędziego społeczności Andrychowa, lecz raczej trwożliwie pytam, dlaczego tak się czasami dzieje, że jako zbiorowość wspólnym i solidarnym niedziałaniem zabijamy kogoś z nas, i to z najbłahszego powodu – z lenistwa, braku wyobraźni, braku odpowiedzialności, awersji, lęku. Takie mikrodecyzje kilkudziesięciu osób mówiących sobie: „a, niech ktoś inny podejdzie, ja się śpieszę" i… nie żyje dziecko. Źle się z tym czuję, bo gryzie mnie niepewność, czy sam bym się nie znalazł pośród leni i tchórzy, którzy przeszli mimo. Nie mam wyrzutów sumienia, lecz odczuwam bolesną empatię wobec tych, którzy je mają, a w każdym razie powinni mieć. Jest mi za nich wstyd, choć mam nadzieję, że im jest wstyd za samych siebie.

Jakże łatwo usprawiedliwia się małe winy. Bo co takiego przejść mimo leżącego? To taka właśnie mała wina. No, chyba że stanie się nieszczęście. Wtedy wina z małej robi się wielka, ale za to rozkłada się na wiele osób, które – tak jak my – przeszły mimo. Ale czemu w ogóle ludzie tak postępują? Dlaczego nie mają w sobie odruchu udzielania pomocy leżącemu? Myślę, że każdy z nas jakoś to czuje. Bo każdy ma w sobie coś z tego mętnego, niejasnego lęku połączonego z lenistwem i jakimś szpetnym egoizmem, podszeptującym nam, że trzeba zawsze i wszędzie unikać wszelkich kłopotów. A leżąca na ulicy osoba to właśnie kłopot. Może jak zadzwonię po pogotowie, to będę musiał tu długo czekać, a potem się tłumaczyć? Może będą mnie gdzieś ciągać, spisywać? A jak podejdę do tej osoby, to może się pobrudzę, a nawet czymś zarażę? Nie mamy zaufania do służb, a tym bardziej do kogoś, kto leży na ulicy. Może jest tylko pijany? Może chce tu leżeć? Czy to moja sprawa?

Wszystko to jakoś tak właśnie wygląda. Tylko że Natalka była dzieckiem, a na dworze był mróz. Nie pijak, nie narkoman, nie menel, nie włóczęga. Nie wiosną, nie latem, nie jesienią. W zimowy

eprasa.pl 098835538c

Elektryk gdański

Wkrótce powinniśmy przekonać się, czym dla obecnej władzy jest praworządność.

W połowie października w Gdańsk wyjechało 18 nowiutkich autobusów elektrycznych. Miasto zapłaciło za nie 62 mln zł. W macierzystej zajezdni przy al. Hallera miały 18 stoisk do ładowania. Na jednym kilkugodzinnym zatankowaniu prądem każdy z nich powinien pokonać dystans 400 km. Tak przecież napisał producent.

Ten model tak nie ma

Problem z zasięgiem autobusów elektrycznych pojawił się już podczas testów. Kierowcy, choćby nie wiadomo jak się starali, nie byli w stanie pokonać takimi cudeńkami technicznymi 400 km. Żeby było zabawniej, często okazywało się, że to, co są w stanie przejechać, to ledwie połowa założonego przez producenta dystansu.

Miejscowi spece od komunikacji miejskiej zasadzili się na internetowej stronie pokazującej, gdzie są w danej chwili autobusy. I okazało się, że elektryczne nagle znikają. W ich miejsce zaś pojawiają się autobusy spalinowe. Po prostu kiedy elektryczny pojazd zdycha z braku prądu, to strona nagle się resetuje, a na nowej elektrycznego cudeńka już nie ma.

Kierowcy zagadywani przez lokalne media opowiadali, że po Gdańsku jeździ się morenowymi wzgórzami, do których pokonania trzeba w cholerę mocy. Dużo więcej niż w optymalnych warunkach założonych przez producenta. Jeden z kierowców zaufał jednak specyfikacji pojazdu i na czas nie zerknął na stan baterii. Autobus stanął w środku trasy, nie dojechawszy nawet z pasażerami na przystanek. I tylko dlatego, że kierowców brakuje, nie wyleciał z pracy, a jedynie wylądował na dywaniku u kierownika.

Tak dobre, że aż złe

Przez pierwsze trzy tygodnie pracy elektrycznych cudeniek nie było dnia, aby wszystkie wyjechały w miasto. Miejska spółka transportowa, obczaiwszy co i jak, postanowiła więc je wypuszczać nie na cały dzień, ale na kilka godzin porannego i popołudniowego szczytu. Do pełnodobowej obsługi pasażerów służą niezawodne, napędzane olejem napędowym 17-letnie solarisy urbino z 2006 r.

Dość ciekawe zdanie mieli kierowcy w kwestii prowadzenia autobusów elektrycznych. Ciężarem bowiem przypominały czołg. I to taki, który zamiast wieżyczki na dachu ma ważące osiem ton baterie. Szoferom nawet nie chce się myśleć o sytuacji, gdy będą musieli kiedyś na zakręcie czymś takim mocno hamować, i to z pasażerami w środku. Wtedy najdelikatniejszy przychodzący im na myśl scenariusz zakłada, że pojazd tylko przewróci się na bok.

Tych niemiłych myśli nie są kierowcom w stanie wynagrodzić bajery, w które wyposażone są autobusy. Czujnik deszczu wycieraczek czy czytanie znaków drogowych może i są zabawne, ale nie mają większego sensu w pełnym ludzi autobusie miejskim. Więc dla kierowców elektryczne cudeńka to idiotyzm czy też po prostu droga zabawka zamówiona przez zidiociałych ekoaktywistów albo ludzi, którym solidnie posmarowano.

Im więcej czasu mijało od debiutu elektrycznych autobusów, tym mniej się one podobały nawet spółce transportowej. Na początku pani rzecznik miejskiego przewoźnika mówiła jeszcze, że pierwsze tygodnie „to czas, w którym w praktyce wdrażamy się w ich obsługę, w tym także m.in. w zakresie ekonomicznej jazdy i systemu zasilania pojazdów. Trwają prace nad docelową konfiguracją oprogramowania zasilania pojazdów, w tym systemu ogrzewania, która korzystnie wpłynie na funkcjonowanie nowych pojazdów elektrycznych". A poza tym nie jest tak źle, bo zamiast 400 km przy uruchomionym ogrzewaniu nowe pojazdy realizują na gdańskich trasach zasięgi w przedziale 200–300 km.

Po kilku dniach okazało się, że te 200–300 km na jednym ładowaniu to jednak źle. I dlatego spółka Gdańskie Autobusy i Tramwaje nałożyła 42,5 tys. zł kary na dostawcę nowych autobusów elektrycznych. Powodem było „niedotrzymanie poziomu gwarantowanego zasięgu minimalnego".

Wiewiórki z gdańskiego magistratu mówią, że tak mała kara to skutek działań urzędników, którzy uprosili władze spółki transportowej o niewściekanie się. Prezes miał wszak mieć na biurku kwity, w których w ramach reklamacji zamierzał zwrócić je producentowi.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dlatego ludzi ze spółki zdziwiło, że spośród 18 autobusów śmieszna kwota kar dotyczyła 17 przypadków niedotrzymania poziomu gwarantowanego zasięgu minimalnego. Średni poziom różnicy w tych przypadkach wyniósł… 19 km.

Teraz nie wyrobili już gdańszczanie: w internecie zaczęła się jazda po głupocie urzędasów, którzy za chore pieniądze kupili autobusy tak naprawdę pracujące połowę tego, co obiecano, czyli powinny być dwukrotnie tańsze.

Jeszcze ciekawiej wyglądało to, gdy na gdańskich ulicach z powodu śniegu i lekkiego mrozu przebieg autobusów skurczył się niemal do jednej czwartej. Jedni pasażerowie zaczęli więc mówić o prokuratorze. Inni wyszli z założenia, że skoro strupa nie można się pozbyć, trzeba przynajmniej ten zakup zoptymalizować. Stąd propozycje, żeby skoro w korkach nie wyrabiają w Gdańsku całego dnia, wpuścić te autobusy na linie nocne. „Rozwiązałby się przy tym problem autobusów stojących przez długi czas na przystankach i pętlach z włączonym silnikiem w nocy: „na Łostowicach notorycznie stoją i warczą tymi dieslami po 20 minut" – napisał jeden z gdańszczan. Zapomniał widać, że elektryczne cudeńka kupiono po to, żeby ludzie oddychali na ulicach czystszym powietrzem. To zaś najczęściej robią, gdy nie śpią, ale w ciągu dnia szwendają się po Gdańsku.

Dwa w jednym

Ludzie wspominający o przekręcie posiłkowali się informacjami z Niemiec. Informacjami, które osoby odpowiedzialne za zakup elektryków powinny mieć w małym palcu. W Niemczech zaś wygląda to tak, że wcześniej jeden autobus miejski o napędzie spalinowym pokonywał dziennie ok. 250 km. Teraz, gdy władze miast zmuszono do przechodzenia na autobusy elektryczne, dystans jest podzielony na pół. Jeden elektryk jeździ od godz. 5.00, ale tylko do godz. 13.00. Resztę przejmuje drugi pojazd. Pierwszy dojeżdża do przystanku końcowego i zjeżdża do zajezdni na ładowanie, a drugi wjeżdża w jego miejsce. Za Odrą wyszło więc na to, że zamiast jednego autobusu potrzeba dwóch. Oczywiście tamtejsi Zieloni z jakiegoś powodu nie zauważyli, że oznacza to większe zatrucie środowiska, bo zamiast jednego trzeba wyprodukować dwa pojazdy. Ale Niemcy są bogate, a poza tym kupują autobusy elektryczne z niemieckich firm. I nikogo nie razi nawet to, że w elektrycznym autobusie Mercedesa prąd z baterii nie idzie na ogrzewanie wnętrza. Od tego jest bowiem specjalny piecyk, w którym pali się (uwaga!) olejem opałowym.

Gdy Gdańsk podpisywał umowy na elektryczne autobusy, przed koniecznością podobnego zakupu stanęły i inne miasta w Polsce. I jakimś cudem Poznań, Lublin i Konin nie weszły w elektryki. Wałbrzych zresztą też. Wolały kupić autobusy wodorowe, potrafiące jeździć nawet po 600 km na jednym tankowaniu, które trwa nie kilka godzin, ale kilkanaście minut. Autobusy wodorowe są równie ciche jak elektryki, a zamiast spalin wytwarzają wodę. Na dodatek cena wodoru w przeliczeniu na przejechane kilometry jest porównywalna z ceną prądu. No i jeszcze jedno. Za 20 solarisów urbino 12 hydrogen Wałbrzych zapłacił 65 mln zł, a za 18 słabo działających autobusów Gdańsk popłynął na 62 bańki. Kwotę zbliżoną do ceny wyborów kopertowych, za które ścignie się Sasina i Morawieckiego.

Sprawa jest świeża, nie dziwi zatem, że do urzędu miejskiego, kierowanego przez umiłowaną przez demokratyczne siły prezydent Dulkiewicz, nie wszedł jeszcze żaden przerażony wynikami wyborów Ziobrowy prokurator. Ale jeśli w ciągu kilku najbliższych miesięcy nie zajrzy tam jakiś inny śledczy, to znaczy, że sprawę zamieciono pod dywan. A gdańszczanie, jak i reszta Polski, będą mogli śpiewać piosenkę o 15 października zaczynającą się słowami „Nic się nie stało…".

TOMASZ BOROWIECKI

liśmy Natalkę?

dzień, dziecko… A może nie leżała, tylko siedziała? A może miała w ręku telefon, więc mogła sama zadzwonić, gdyby potrzebowała pomocy? Niewykluczone, że było w jej zachowaniu coś, co zmniejszało jej szanse na uzyskanie pomocy, a przechodniom dawało argument, żeby się nie zatrzymać. W dodatku leżała na uboczu, a to znaczy może nawet nie tyle, że mało ludzi ją widziało, ile że każdy, kto wybrał niegodziwe oddalenie się, mógł liczyć na to, że nikt jego występku nie zauważy.

Wszystko to jest jakoś banalne i zrozumiałe. „Zrozumiałe" nie znaczy jednak „akceptowalne". Nie, nie tylko nie chcemy żyć w świecie, w którym dzieci umierają na ulicach, lecz zapewne podzielamy przekonanie, że właśnie w tym naszym świecie, gdzie nie ma tej beznadziejnej nędzy, jaka zdarza się w Azji czy Afryce, da się to jakoś łatwo zrobić. Ot, wystarczy przemówić ludziom do rozsądku. Nie bądźcie tchórzami, miejcie sumienie, nie bójcie się podejść do leżącego na chodniku, sprawdzić, zapytać, zadzwonić. To tak mało! I kto wie, czy tu faktycznie nie zabrakło właśnie czegoś małego. Może wystarczyłaby jakaś akcja w telewizji, pogadanka na lekcjach wychowawczych, napomnienie księdza w czasie kazania… Tylu ludzi i tyle instytucji mogłoby zrobić coś nieskomplikowanego i mało kosztownego, dzięki czemu ludzie uznaliby, że nie godzi się tak przejść koło leżącego na ziemi dziecka.

Natalki nikt nie zabił i wszyscy ją zabili. Umarła z ciężkiej choroby oraz z wychłodzenia, pozostawiona sama sobie na długie godziny. Ale umarła z pomocą całego świata, który tak jakoś sam się urządził albo nie urządził, że coś takiego stało się możliwe.

W Andrychowie, ale zapewne wszędzie indziej również. To okropnie frustrujące pomyśleć, jak banalne są przyczyny tak wielkiego nieszczęścia. Może teraz coś się zmieni? Na początek obiecajmy sobie, że sami nigdy nie zignorujemy osoby leżącej na chodniku. Bo naprawianie świata zawsze najlepiej zaczynać od siebie.

JAN HARTMAN

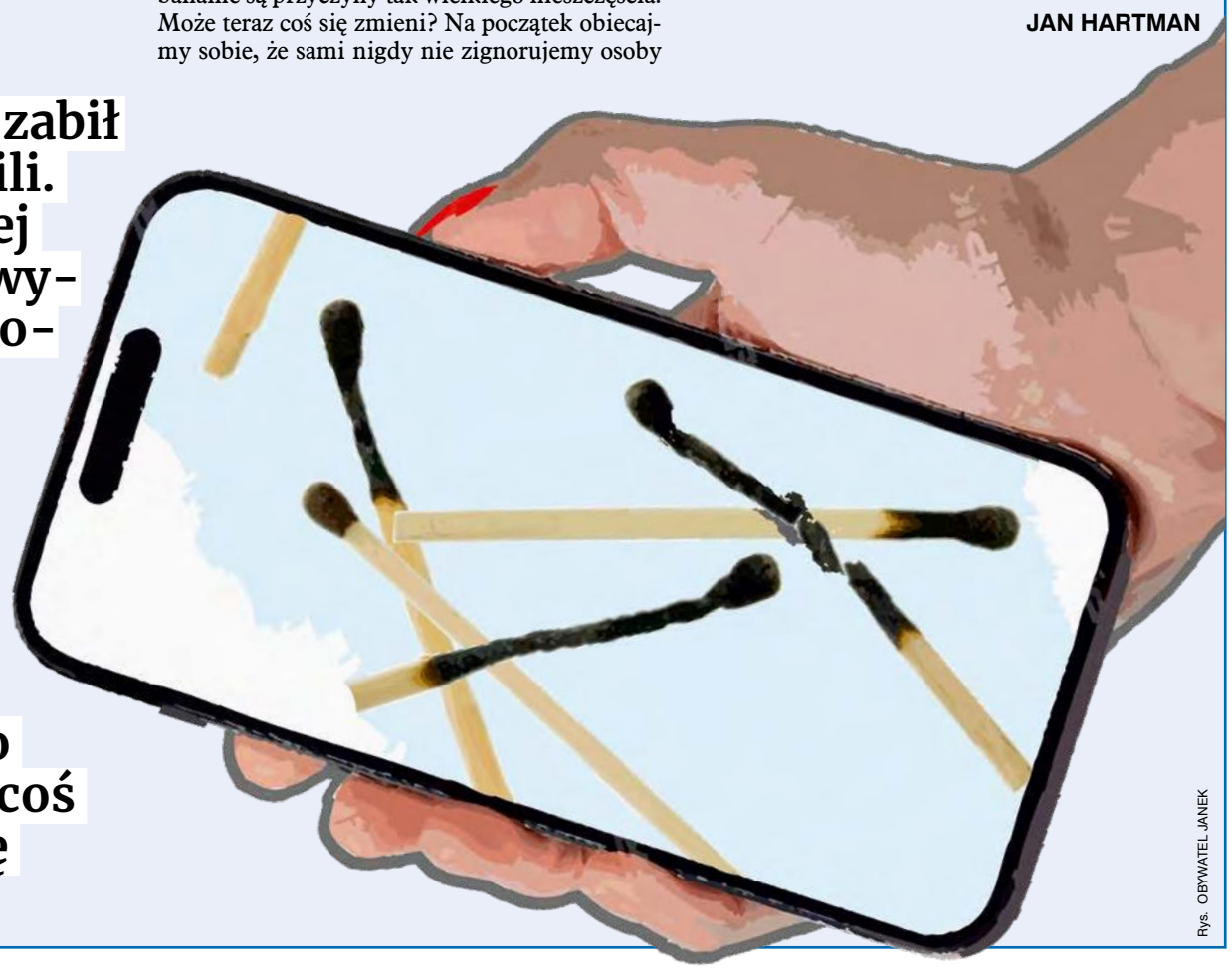

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 098835538c

Katolików będzie suszyć

Coraz mniej chętnych na religię w szkole.

Jakby w odpowiedzi na tekst „Wrzód na dupie edukacji” („NIE”, nr 47/2023) dr Aneta Rayzacher-Majewska, konsultor Komisji Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski (KEP), postanowiła zgładzić – jak na katoliczkę przystało – za sprawą wywiadu udzielonego serwisowi Ekapi.pl wszelkie racjonalne przesłanki przemawiające za oderwaniem lekcji religii od szkolnego cyca. Jednakże po poziomie buty i kiepsko zawoalowanego chamstwa wypowiedzi pani doktor wnoszę, że choć na takie działania nowego rządu na razie się nie zanosi, episkopat mimo wszystko trzęsie sutanną ze strachu.

I dobrze. Bo w nerwach łatwiej popełnić błąd, a każdy gwóźdź do trumny tej spleśniałej instytucji cieszy i przybliża nas do wyzwolenia spod jej jarzma.

Ale to nie wszystko. Agonalna kondycja lekcji religii w placówkach oświatowych ma drugie dno.

Wszyscy jesteście idiotami

Rayzacher-Majewska jest adiunktem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Z opisu jej ścieżki naukowej wynika, że tematem jej pracy magisterskiej była „Poezja w katechezie przedszkolnej”, a pracy doktorskiej – „Literatura piękna w nauczaniu religii katolickiej w szkole podstawowej”. Wyposażona w tak głęboką wiedzę została członkiem zespołu ds. opracowania podstawy programowej katechezy Kościoła katolickiego w Polsce i religii rzymskokatolickiej w przedszkolach i szkołach. Pełni również funkcję rzeczoznawcy do spraw oceny programów nauczania religii i podręczników katechetycznych Komisji Wychowania Katolickiego KEP. Trudno się zatem dziwić, że malejący z roku na rok popyt na chęć zdobycia wiedzy o Jezusku i reszcie uduchowionej menażerii wywołuje u pani doktor pobudzenie porównywalne do drżączki producentów taśm magnetofonowych u progu ery płyt CD chociażby. Nowe huknęło wbrew wszelkim znakom na niebie i na ziemi i trudno się w tym odnaleźć. Zatem zgodnie ze starym przysłowiem, że najlepszą formą obrony jest atak, Rayzacher-Majewska przystąpiła do ofensywy.

„W warunkach szkolnych religia jest jedną z kluczowych lekcji, które służą formacji ogólnoludzkiej i chrześcijańskiej. Taka formacja przekłada się na właściwe kształtowanie postaw społecznych i funkcjonowanie w kulturze, która ma swe korzenie chrześcijańskie” – snuje Rayzacher-Majewska i pyta: „Czy osoba, która nie ma fundamentalnej wiedzy biblijnej lub pojęcia o największych chrześcijańskich uroczystościach może pretendować do miana osoby wykształconej?”. Z miejsca przyszedł mi na myśl Richard Dawkins, do 2008 r. profesor Oxfordu, brytyjski zoolog, etolog, ewolucjonista i publicysta. Autor m.in. doskonałej książki „Bóg urojony”. Wątpię, żeby pani doktor od katolickich czytanek słyszała o tej postaci i mam równie szczerą nadzieję, że Dawkins nie usłyszy nigdy o dr Rayzacher-Majewskiej, bo mógłby się przypadkiem udusić ze śmiechu, a byłaby to wielka szkoda dla świata nauki.

Rys. WIDGET

Kowal zawinił, Cygana powiesili

„Odejście każdego ucznia niepokoi, jednak należy rozpatrywać je w szerszym kontekście. A kontekst jest taki, że dopóki ktoś będzie mógł bez konsekwencji zrezygnować z tych lekcji, dopóty będą osoby korzystające z tej możliwości” – skonstatowała pani doktor i zabrzmiało to jak groźba. Nie zaproponowała wachlarza konsekwencji (najpewniej ciężkich jak sam grzech śmiertelny), które mogłyby spotkać opornych i niechętnych lekcjom religii. Co ważne, nazywanie takich lekcji katechezą jest według pani doktor niewłaściwe, bo jak podkreśliła: „wiele osób o różnym statusie czasem myli te rzeczywistości”, „wiele mediów – zwłaszcza nieprzychylnych religii w szkole – również miesza te pojęcia. […] Jeśli więc zamierzają krzewić swe uprzedzenia względem religii w szkole, mogą specjalnie używać terminu »katecheza«, co skieruje uwagę na Kościół katolicki, choć nieustannie podkreśla się, że dokładnie te same regulacje prawne co do religii katolickiej odnoszą się także do wielu innych Kościołów i związków wyznaniowych, które są uprawnione do nauczania w szkole swojej doktryny”. Rozumiem, że Polska pod wieloma względami już dawno przekroczyła granice wszelkiego absurdu, ale obarczać niechęć młodych ludzi do lekcji religii w kraju nad Wisłą domniemaną winą innych od katolickiego wyznań, to tak jakby stara kurtyzana strofowała studentki za uśmiechy i mruganie oczkiem.

Nawiasem mówiąc, media są winne również temu, że sale na lekcjach religii pustoszeją głównie w metropoliach. „W wielkich miastach jest większa anonimowość, czasem sąsiedzi mieszkający na jednym piętrze niewiele o sobie wiedzą, więc znacznie łatwiej manipulować takimi osobami, które nie zweryfikują docierających do nich informacji. Kilka lat temu natrafiłam na doniesienia medialne o szkole archidiecezji łódzkiej, w której rzekomo nie było religii, ponieważ nikt się na nią nie zapisał. Jakież było moje wielkie zaskoczenie, gdy udostępniłam tekst w prowadzonej przeze mnie na Facebooku grupie katechetów i odezwała się nauczycielka… ucząca tam religii. Ile osób czytających nagłówki zada sobie trud, by sprawdzić prawdziwość przekazanych treści? Takie rzeczy dzieją się, gdy prawda przestaje być wartością, a ktoś karmi się sensacjami” – twierdzi Rayzacher-Majewska, żeby chwilę później zrobić szpagat i snuć smuty o tym, że jako wykładowcę Wydziału Teologicznego UKSW niepokoi ją fakt rosnącej liczby studentów teologii, którzy w ramach studiów nie planują realizować przygotowania pedagogicznego do nauczania religii, ponieważ nie zamierzają uczyć w szkole. Widocznie czytali nagłówki bez weryfikowania treści. Kiepściutko.

Swoją barkę pozostawiam na brzegu

Na początku listopada Aneta Rayzacher-Majewska pochwaliła się w swoich social mediach, że projekt „Rodzina Bogiem Silna”, którego jest kierownikiem, został zakwalifikowany do finansowania. Wnioskodawcą była Fundacja Pro Polonia, współpracująca z UKSW. Rayzacher-Majewska nie pochwaliła się, która jednostka prowadziła konkurs. Szkoda. Doszperałam się, że jako kierowniczka innego projektu „Katecheta – człowiek z klasą. Program innowacyjnego przygotowania pedagogicznego do nauczania religii” wygrała konkurs kompetencji w szkolnictwie wyższym. Wartość dofinansowania z Programu Operacyjnego Programu Wiedzy Edukacji Rozwoju Narodowego Centrum Badań i Rozwoju wyniosła 246 098,51 zł. Okres realizacji projektu przypadł na lata 2019–2022. Wobec tego bardzo możliwe, że udało jej się skubnąć jeszcze jakiś grancik z puli rządowej.

Wiele wskazuje na to, że wraz z nadejściem rządu Donalda Tuska kurek z dotacjami dla wszelkiej maści katolickich wybryków natury bynajmniej nie naukowej zostanie przykręcony. Rozbuchany w swej rozdawniczej bezczelności aparat pisowski wpadł tyle razy pod medialną kosiarkę, że powielanie tych schematów nawet za cenę przymknięcia kościelnej – że się tak kolokwialnie wyrażę – japy byłoby strzałem nie tyle w kolano, ile w głowę.

Nawet jeśli Lewicy nie uda się przekonać nowego rządu do wyprowadzenia religii ze szkół, liczne pomniejsze źródła zasilające nurt katolickiej indoktrynacji zaczną powoli, acz skutecznie wysychać.

Przekombinowanie szyku szeregów kościelnych agitatorów i znalezienie nowych form dojenia pieniędzy zajmie sporo czasu, a bardzo możliwe, że do tego momentu zasoby młodzieży chętnej do pobierania religijnych nauk wyczerpią się na tyle, że problem rozwiąże się sam.

IDALIA DUBICKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Ideologia gender*** *jest ponad wszystkimi innymi* ***pomysłami,*** *które z niej wynikają, w tym tzw. trans, czyli zmiana płci, ponieważ jest pewnym pomysłem na nową ludzkość i to jest niezwykle groźne. […] Jest to pewna* ***koncepcja,*** *która ma z* ***Bożym porządkiem świata*** *oraz naszą autentyczną tożsamością podjąć najpierw dyskusję, a następnie je bardzo poważnie podważyć. O ile* ***gender*** *jako* ***nadrzędna koncepcja antropologiczna przewyższa nas,*** *o tyle należy zwrócić uwagę na drobne sygnały tzw. genderowania. […] Jeżeli człowiek ma pomysł, iż będzie inaczej wyglądał, to oznacza, że cała jego aktywność jest skupiona jedynie na jego fizyczności. Nie będzie on starał się rozwijać, […] będzie skupiony na przyjemności, a przez to nie będzie miejsca na to, żeby dawać życie kolejnym pokoleniom i nim się zajmować, bo to jest trudne zadanie.*

ekspert ds. oświatowych Hanna Dobrowolska, TV Trwam, 4 grudnia

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ *Patrząc na lata* ***niepodległej Polski*** *po 1989 roku, uruchomimy wyobraźnię i wyobrazimy sobie, że* ***Radia Maryja*** *nie ma, iż ta katolicka rozgłośnia nie funkcjonowała, to przecież nawet* ***wolności słowa*** *moglibyśmy nie mieć w tym zakresie, jaki mamy. Był taki czas, kiedy układ lewicowo-liberalny zdominował układ rewolucyjny. […] Wtedy tylko* ***Radio Maryja i TV Trwam wyrąbywały*** *przestrzeń wolności i prawdy, gdzie mogliśmy usłyszeć inną opinię i zobaczyć rzeczywistość, jaką ona jest.*

prof. Mieczysław Ryba, TV Trwam, 2 grudnia

■ *Nowa rzecznik (Monika Horna-Cieślak, nowa rzecznik praw dziecka – red.) mówi o tym, że tęczowe piątki są dla niej tak samo ważne jak* ***Święto Zmarłych,*** *co wyraźnie wskazuje na to, że ta pani nie wywodzi się z tradycji i historii Polski. […] Warto tej pani powiedzieć, że tęczowe piątki to jednak kwestia* ***ideologii*** *i wprowadzania zamieszania w umysłach młodych ludzi, natomiast Święto Zmarłych przynależy do tradycji polskiej i wynika wprost z ugruntowanej w Polsce wiary katolickiej. […]* ***Ideologia*** *nie jest tym samym co* ***idea. Urojenie*** *tzw.* ***genderyzmu*** *ma się nijak do historycznych i tradycyjnych uwarunkowań Polski.*

małopolska kurator oświaty Barbara Nowak, „Aktualności dnia”, Radio Maryja, 1 grudnia

■ *Ufam, że samo* ***Radio Maryja*** *oraz wspomniane tutaj inne przedsięwzięcia będą wydawać* ***dobre owoce*** *przez wiele kolejnych dekad. […]* ***Rzeczypospolitej*** *jeszcze bardziej potrzeba* ***niezawodnego kompasu,*** *tzn. idei, wartości i rozwiązań, na których dotąd opierała się pomyślność i rozwój naszego kręgu cywilizacyjnego. Ufam, że Radio Maryja nadal będzie służyć jako ważny punkt odniesienia w sprawach wiary, etyki, życia publicznego i obywatelskiego zaangażowania.*

prezydent Andrzej Duda, list z okazji obchodów 32. rocznicy powstania Radia Maryja, 2 grudnia

■ *Dziękujemy, że jest* ***Radio Maryja,*** *środowisko z nim związane, dziękujemy za to, że to środowisko ewangelizuje, katechizuje, porusza ważne problemy moralne i społeczne […],* ***ukazuje bogactwo Kościoła.***

bp Wiesław Śmigiel, YouTube, Radio Maryja, 2 grudnia

■ ***Brońmy polskich dzieci*** *nie tylko przed* ***dewiantami,*** *którzy przynależą do różnych grup zawodowych, ale również przed dewiantami w garniturach,* ***w klubach poselskich, partiach politycznych!***

Grzegorz Braun, platforma X (dawniej Twitter), 29 listopada

WYBRAŁ KLECHA

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 098835538c

Długa tradycja polsko-niemieckiej korespondencji kościelnej.

Für Vatikan!

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W czasach obrazków i skrótowych wiadomości pisanie listów praktycznie wymiera. Ale nie w Kościele kat. Kler – kustosz przebrzmiałych tradycji – nadal komunikuje się przy pomocy listów. Prawdopodobnie obok sądów i urzędów Kościół to jedyna instytucja, w której sztuka epistolarna nie umarła.

Jednym z najsłynniejszych listów biskupów polskich jest ten, w którym zawarto wiekopomną frazę: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Było to za komuny, w 1965 r., a polscy hierarchowie napisali tak do swoich niemieckich odpowiedników. Była to – jak zwykle w takich przypadkach – deklaracja nie tylko religijna i moralna, ale też polityczna. Trochę na złość polityce władz PRL, trochę na własny pożytek – w końcu niemiecki Kościół zawsze był bogaty i miał środki, by pomóc uciśnionym braciom w wierze.

58 lat po orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich szef polskiego episkopatu abepe Stanisław Gądecki postanowił nawiązać do tej tradycji, ale dość przewrotnie. Napisał do papieża skargę na Niemców. Niemcy otóż zdaniem Gądeckiego, oprócz tego, że są Niemcami (co samo w sobie jest już grzechem), to nie są katolikami. Wobec tego bezprawnie wykorzystują logo i struktury ich firmy.

W Kościele kat. trwa tzw. synod o synodalności. Nie wchodząc w szczegóły, chodzi o to, że biskupi debatują o przyszłości Kościoła, a do tej dyskusji papież zaprosił nie tylko duchownych, ale i wiernych bez sutanny. Dla konserwatystów to już grzech wołający o pomstę do nieba, żeby sobie świeccy na równej stopie debatowali z klerem. Jakby tego było mało, papież zaprosił do rozmów także przedstawicieli innych Kościołów chrześcijańskich, czyli heretyków. Wreszcie, co już absolutnie niewybaczalne, do głosu dopuszczono kobiety. Generalnie papież wyczuwa wiatr zmian, wie, że instytucja w obecnym kształcie się nie utrzyma. Bo kształt ten raz, że jest anachroniczny, a dwa – został wypracowany w Europie, która wcale nie jest teraz centrum Kościoła ani jego przyszłością.

Zdziwieni i zniesmaczeni nowymi porządkami są ci hierarchowie, którzy żyli sobie dotychczas miło i wygodnie oraz wiedzieli, co dobre, a co złe. Niekoniecznie sami tego przestrzegali, ale wiedzieli. Gdy wyświetla im się perspektywa, że owieczki będą mogły żyć w związkach niesakramentalnych, a nawet homoseksualnych (czyli tak jak wielu z nich), to mają stan przedzawałowy. Konserwatysta wszak to ten, który chce, żeby inni żyli tak, jak on udaje, że żyje. Cała perwersja i urok kapłańskiego życia zawiera się przecież w tym, że wprost z ambony po wygłoszeniu płomiennego kazania przeciwko tęczowej zarazie gna się do kochanka.

Reformy proponowane przez Franciszka nie wszystkim się więc podobają. Także w Polsce. Abepe Gądecki to chyba najdonośniejszy głos przeciwko synodowi spośród polskich biskupów. Gądecki nie zaatakował jednak papieża wprost. Zdecydował się na atak pośredni. Skrytykował tzw. niemiecką drogę synodalną. Niemcy są w awangardzie reform, wyprzedzili resztę o kilka długości. Nawet papież stopuje ich w rewolucyjnych zapędach i temperuje reformatorów. Na polskie standardy to postępowi niemieccy katolicy są gdzieś w połowie drogi między protestantami a satanistami.

Abepe Gądecki postanowił wystąpić przeciwko pełzającej herezji. Tym groźniejszej, że kwitnącej tuż za naszą zachodnią granicą. „Swiadomość siły, która tkwi w prawdzie, ożywia moją nadzieję wobec trwającego synodu, by nie był on w żaden sposób zmanipulowany i wykorzystany do autoryzacji niemieckich tez, otwarcie sprzecznych z nauczaniem Kościoła katolickiego" – napisał przewodniczący episkopatu do Franciszka. Gądecki jest zwolennikiem tradycyjnego pruskiego drylu w Kościele. Wyraził to choćby w kazaniu na ingresie abepe Tadeusza Wojdy: „Nie wypada, abyś Ty, biskup, który jesteś głową, na czyjąś zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, skoro Ty masz słuchać tylko Boga. Winieneś rządzić podwładnymi, a nie podlegać ich władzy, wszak zgodnie z porządkiem urodzenia syn nie rządzi ojcem ani uczeń nauczycielem, żołnierz królem ani świecki biskupem". Tymczasem w Niemczech poluzowano dyscyplinę i rozpuszczeni jak dziadowski bicz świeccy narzucają swoje racje duchownym. Tak być nie może i stąd ta interwencja u papieża. Czyli tak: z Niemcami mamy już kosę o reparacje, Ukrainę, centralizację UE, a teraz i na gruncie kościelnym.

Na list nie odpowiedział adresat, za to

zareagował niemiecki odpowiednik Gądeckiego bepe Georg Bätzing. Kulturalnie polecił Gądeckiemu, żeby się łaskawie odstosunkował od niemieckich spraw kościelnych, bo to nie jego interes ani tym bardziej zakres obowiązków.

Bätzing obwieścił, że list polskiego skarżypyty przyjął „z pewną konsternacją i wielkim rozczarowaniem".

Gądecki nie ma nic do stracenia, za rok i tak idzie na emeryturę. Może kieruje nim niespełniona ambicja: dotychczas nie został kardynałem i już nie ma na to wielkiej szansy, a na pewno nie za pontyfikatu Franciszka. Ten zaś jedynymi polskimi kardynałami zrobił biskupów Rysia i Krajewskiego, bezkrytycznych entuzjastów jego reform i idei. Gądecki chce się wyróżnić i na jakiś czas zostanie przynajmniej autorytetem prawicy, skoro kardynałem nie może. Argentyński papież na pewno doceni troskę polskiego arcybiskupa o czystość katolickiej doktryny, na przykład przyjmując jego rezygnację od razu po osiągnięciu wieku emerytalnego, zamiast wydłużyć mu rządy o parę lat. Gądecki zapomniał, że Argentyńczycy mają tradycje w chronieniu Niemców.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

REKLAMA

eprasa.pl 098835538c

Wojtyła był nie tylko niespełnionym aktorem i dramaturgiem, ale też filozofem. Żeby było śmieszniej, nawet polscy katoliccy filozofowie, zanim objął on prestiżową fuchę w Watykanie, nie cenili go szczególnie. Prof. Jan Woleński, od lat jeden z czołowych rodzimych myślicieli, twierdził w rozmowie z Arturem Nowakiem i prof. Stanisławem Obirkiem, że kardynał Wojtyła za swe książki był flekowany przez dominikanina Mieczysława Alberta Krąpca, guru klerykałów nad Wisłą i Odrą. Krąpiec zapałał miłością do JP2 dopiero, gdy ten zasiadł na tronie Piotrowym.

Ćwierć wieku temu JP2 opublikował encyklikę „Fides et ratio" („Wiara i rozum"), w której opisywał relacje między teologią i filozofią. W końcu, jak czytamy w niej, „wiara i rozum są jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy. Sam Bóg zaszczepił w ludzkim sercu pragnienie poznania prawdy, którego ostatecznym celem jest poznanie Jego samego, aby człowiek – poznając Go i miłując – mógł dotrzeć także do pełnej prawdy o sobie".

To ważny głos, który daje dobry wgląd w umysł papieża Polaka. I tego, co uznawał on za prawdę, a dokładniej – przenajświętszą prawdę, mającą stempel Ojca Świętego, niepodrabialny i jedynie słuszny. A zatem, jak mawiają biskupi, ubogacajcie się i czerpcie z krynicy mądrości, śnieżnobiało czystej jak wdzianko papieskie i nieskażonej brudem ateistycznego myślenia, które jest szatańskim pomiotem.

25 lat encykliki „Fides et ratio".

JP2 filozofów poucza

Diabelskie sztuczki

Ks. Piotr Ochotny ochoczo wyjaśnia w swym artykule naukowym o omawianej encyklice, że warto zdekonspirować zakusy szatańskie, które nam mieszają w głowie. Powołuje się przy tym na książkę angielskiego pisarza C.S. Lewisa „Listy starego diabła do młodego", która ukazuje zagrożenia współczesnego człowieka. Młody diabełek dzieli się z bardziej doświadczonym kolegą głębokim zaniepokojeniem, że ludzie nader inteligentni, którzy czytają dzieła autorów starożytnych, mogą natrafiać na ślady prawdy.

Stary diabeł, zapewne machając ogonem, uspokaja nowicjusza. I mówi, że siłom piekielnym udało się przekonać zachodnich uczonych do dziwacznego mędrkowania, w którym myślant – jak powiedziałby Stanisław Lem – „jedynym pytaniem, którego sobie nigdy nie stawia, jest pytanie, czy to jest prawda. Zapytuje, kto wywarł wpływ na tego starożytnego pisarza, jak dalece napotkane twierdzenie zgodne jest z tym, co napisał w innych swych dziełach, jaką to fazę w rozwoju pisarza lub w ogólnej historii myśli ilustruje, jaki to wywarło wpływ na późniejszych pisarzy".

Według Ochotnego „Fides et ratio" to właśnie odtrutka na takie diabelskie sztuczki, rozplenione niczym chwasty w epoce postmodernizmu czy ponowoczesności, w której odrzuca się pytania o prawdę i moralność. Innymi słowy, twierdzi klecha, „możemy powiedzieć obrazowo, że człowiek późnej nowoczesności przypomina trochę spadkobiercę, który dowiedziawszy się, że odziedziczył kufer pełen absolutnych i uniwersalnych wartości, w imię pluralizmu i tolerancji dobrowolnie zrzeka się spadku".

Apologeci Wojtyły skromnie i bynajmniej bez czołobitnej służalczości pisali, iż encyklika, wydana na 20-lecie pontyfikatu, jest papieskim manifestem w służbie prawdy, której chrześcijaństwo jest świadkiem. Ochotny zauważa: „Dokument papieski jest bowiem najsilniejszym świadectwem na rzecz prawdy, która stanowi niezbywalną i konstytutywną potrzebę ludzkiego bytu. Rezygnując z niej bądź też poddając się wygodzie i umysłowemu lenistwu zaniechania jej poszukiwania, człowiek jest zagrożony w swoim człowieczeństwie". Wszak człowiek ze swej natury jest istotą wolną i rozumną, toteż powinien nie tylko docierać do pracy, trwać przy niej, ale w ogóle całe swoje życie układać wedle jej wymagań.

Błędy rozumu

JP2 odróżnia racjonalność i racjonalizm. Dla niego Bóg jest fundamentem racjonalności. Bo racjonalność to coś innego od racjonalizmu. Jak pisze ks. Maciej Bała, „pierwsze pojęcie można zastosować wobec cechy działania umysłowego, które nakazuje przyjąć twierdzenie jako prawdziwe, jeśli wskaże się na racje, które to twierdzenie uzasadniają. Ale racje te mogą mieć bardzo różnorodny charakter, racją taką jest również odwołanie się do Objawienia Bożego".

W „Fides et ratio" czytamy o „skrajnym" czy też „przesadnym" racjonalizmie, który prowadzi do powstania filozofii oderwanej i całkowicie autonomicznej w stosunku do wiary. Ale tak naprawdę wiedzie on do czegoś przeciwnego: irracjonalizmu, podejrzliwości wobec samego rozumu.

I bezsprzecznie coś jest na rzeczy. Czasem racjonalne działania, jak te, które cechowały administrację III Rzeszy – wzorowanej na archetypie Maxa Webera, czyli bezosobowej biurokracji pruskiej – są wykorzystywane do najbardziej irracjonalnych celów, jak mordowanie Żydów. Bez tysięcy bezimiennych sumiennych ludzi, którzy po prostu profesjonalnie i bez zbędnych emocji wykonywali swoją pracę – kolejarzy, projektantów czy budowniczych obozów koncentracyjnych – niemożliwa byłaby przemysłowa, sprawnie zorganizowana rzeź milionów Żydów.

Rzecz jednak w tym, że poza tą – jak powiedziałby prezes z Żoliborza – oczywistą oczywistością Wojtyła postanowił dokonać wiwisekcji pragmatycznego podejścia do demokracji.

Wartości chrześcijańskie ponad wszystko

„Fides et ratio" ukazuje dość kuriozalny i nazbyt jednostronny obraz pragmatyzmu, który jakoby sprowadza się do rezygnacji w chwili dokonywania wyborów z namysłu teoretycznego i ocen etycznych. JP2 krytykuje zatem pewne formy demokracji, które stają się okazją do ustanawiania pewnych zasad poprzez głosowanie większości parlamentarnej, wartościujących, bez odniesienia do kwestii tego, co jest dobre, i tego, co jest złe.

W języku potocznym i publicystyce pragmatyk (szczególnie w polityce, ale nie tylko) to tyle, co bezideowiec, kierujący się wyłącznie wyzutymi z wszelkiego kompasu ideowego, nie wspominając – moralnego, robiący wszystko, by być skutecznym i władzę uzyskać bądź nadal sprawować. Jednak w filozofii rzecz ma się inaczej – w epoce autorytaryzmów i totalitaryzmów pragmatycy zawsze opowiadali się za demokracją i swobodami obywatelskimi.

No i tu pojawia się kłująca w oczy hipokryzja:

papieżowi nie przeszkadzało, gdy owe większości parlamentarne przegłosowywały prawa korzystne dla Kościoła katolickiego, narzucały wszystkim mieszkańcom danego kraju ideologiczne normy tej instytucji,

czy to w sferze obyczajowej (aborcja, eutanazja lub in vitro), czy też ekonomicznej (pod tym względem Polska dla Kościoła i duchownych jest rajem podatkowym).

Wrogość wobec pragmatyzmu jest o tyle zrozumiała, iż amerykańscy filozofowie generalnie – choć jak to w Stanach Zjednoczonych, liczyli się z potężnymi organizacjami religijnymi, zwłaszcza rodzącym się fundamentalizmem protestanckim – wprost mówili, że w demokracji nie ma miejsca na uznanie istnienia sił nadprzyrodzonych. Trudno się temu dziwić, gdyż nie sposób prowadzić rozumnej debaty o świecie społecznym, jeśli dopuścimy do niej na równych zasadach kogoś, kto uzasadnia swoje racje słowami: „Bóg tak powiedział i nie ma to tamto". W tym kontekście nie może dziwić, że część co bardziej odklejonych klechów w naszym kraju uznała, że pandemia koronawirusa była karą za grzechy, za rozpasanie seksualne Polaków i brak czci dla świętego JP2.

Wojtyła sprytnie lawirował między różnymi ideami, ale – cytując Biblię – gmach swego rozumowania oparł nie na skale, lecz na ruchomych piaskach. Doceniając wolność (a zatem z przykrością zdając sobie sprawę, że średniowiecze dawno się skończyło), jednocześnie podkreślał, że zawsze jest ona wyborem prawdy i dobra, które są zespolone – albo razem trwają, albo razem marnie giną. Wolność to szukanie pełnej prawdy o człowieku i otaczającym go świecie, lecz – scholastycznie wnioskuje JP2 – wolność nigdy nie może wyrażać się w dokonywaniu wyborów przeciw Bogu, który jest przecież fundamentem prawdy!

Papież i nihiliści

„Fides et ratio" w całej rozciągłości potwierdza tezę o uderzającym pokrewieństwie nihilisty i fundamentalisty w sferze wartości. I jeden, i drugi są całkowicie przekonani, że istnieją tylko jedne godne swego miana wartości: niewzruszone, obiektywne, pewne, niezmienne w czasie i przestrzeni. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że ten pierwszy sądzi, że takich wartości nie ma, podczas gdy ten drugi jest odmiennego zdania – takie wartości istnieją i on je reprezentuje.

Dopiero przyjęcie powyższego pozwala lepiej pojąć tyrady papieskie wymierzone w nihilizm i postmodernizm. W gruncie rzeczy to kłótnie w rodzinie i dowód na pozorne przeciwieństwo fundamentalizmu i nihilizmu, które w gruncie rzeczy są dwiema stronami tej samej monety.

Encyklika JP2 broni się wyłącznie wtedy, jeśli uznamy katolicką metafizykę za najwyższą formę rozumienia tego, co jest wokół nas. Gdyby zawarte w niej argumenty miały bronić się nagie, a nie odziane w papieską nieomylność w kwestiach wiary, to okazałyby się warte niewiele więcej niż papier, na którym je spisano.

KATARZYNA KOENIG

Rysunki TOMASZ WIATER

REKLAMA

eprasa.pl 098835538c

Zima zaskoczyła skoczków

W polskich skokach narciarskich dawno nie było tak źle jak w rozpoczętym niedawno sezonie.

Skokami przestałem się interesować już jakiś czas temu. Nieustanne wprowadzanie innowacji sprawia, że ta dyscyplina staje się coraz mniej czytelna dla oglądających. Zawodnik wybija się z progu, kilka sekund leci w powietrzu, ląduje i nie do końca wiadomo, czy był to skok udany, czy nie. No, chyba że się wywróci lub podeprze rękoma. Wówczas jest jasne, że nie ma co liczyć na sukces.

Algorytm skoku

Odległość uzyskana przez skoczka to tylko jeden ze składników wyniku. Dochodzi do tego nota za styl. Ocenia go pięciu sędziów, dwie skrajne oceny są odrzucane, ale i tak bywają spore rozbieżności. Jedni sędziowie zobaczyli telemark, inni nie zobaczyli i odjęli coś z noty.

Dodaje się lub odejmuje także punkty za warunki atmosferyczne, w których zawodnik wykonywał swoją próbę. Jeśli wiatr wiał w plecy, to punkty się dodaje, jeśli pod narty – odejmuje. I tu jest sporo rozbieżności. Wszystko zależy od miejsc, w których ustawione są wiatromierze. Wiatry wiejące na skoczniach mają to do siebie, że lubią kręcić. Średnia wyprowadzona z odczytów nie musi więc w pełni oddawać rzeczywistości. Miało być sprawiedliwie, a nie jest. Silny wiatr w plecy i tak popsuje skok, choćby dodać do wyniku sporo punktów.

Belka startowa w zależności od sędziowskich decyzji wędruje w górę lub w dół. Kiedyś też tak było, jeśli jednak – dla bezpieczeństwa skoczków – decydowano o zmianie długości rozbiegu, całą serię rozpoczynano od początku, żeby skoczkowie startowali na identycznej skoczni. Teraz robi się ruchy belką startową w trakcie trwania konkursu i znów, jak w przypadku wiatru, dodaje i odejmuje punkty.

Co roku zmienia się zasady dotyczące stroju i ekwipunku skoczków. Oczywiście kibice nie widzą tych niuansów i nagle dowiadują się, że ktoś został zdyskwalifikowany.

To wszystko powoduje, że naprawdę trudno oglądać skoki, bo człowiek nie ma w głowie komputera i nie jest w stanie dokładnie wszystkiego przeliczyć. Owszem, orientuje się, czy skok był udany, czy nie, ale jaki wynik zawodnik uzyskał, to już zadanie dla elektroniki. Wszystko jest – trzeba przyznać – błyskawicznie przeliczane i podawany jest rezultat. No to może zamiast oglądania zawodów wystarczy przeczytać wyniki?

Podsumowując: miało być sprawiedliwie, jest mało czytelnie. Zanim wprowadzono te wszystkie nowości, jedni mieli więcej szczęścia, inni mniej, ale w sporcie szczęście też jest ważne. Piłkarz strzela na bramkę i trafia w słupek. Gdyby futbolówka poleciała kilka milimetrów inaczej, odbiłaby się od jego wewnętrznej części i byłby gol. Właśnie skończyły się mistrzostwa Zjednoczonego Królestwa w snookerze, na pewno oglądała je wielka fanka tego sportu, a moja redakcyjna koleżanka Agnieszka Wołk-Łaniewska, zwłaszcza że jej ulubieniec Ronnie O'Sullivan grał fantastycznie. Ona najlepiej mogłaby opowiedzieć, ile trzeba mieć szczęścia w tym sporcie.

Skoczkowie wykwalifikowani

Zapytano kiedyś Igę Świątek, czy podobnie jak inni Polacy interesuje się skokami narciarskimi. Odpowiedziała, że lubi na nie popatrzeć, ale ich nie ogarnia. W mediach społecznościowych odpowiedział jej Kamil Stoch. On też tego nie ogarnia – przyznał. Po wylądowaniu nie zawsze wie, jaki oddał skok.

Denerwują mnie kwalifikacje konkursów i zawsze zastanawiam się, kto i po co je ogląda. Skoczków nie jest wielu. Zdarza się, że eliminowani są tylko dwaj czy trzej zawodnicy. Wyniki kwalifikacji nie są zaliczane do konkursu.

Wiem, jaka była idea kwalifikacji. Wszystko za sprawą brytyjskiego „Orła" – Eddiego Edwardsa. Tęgawy mężczyzna z okularami optycznymi na nosie pojawiał się na skoczniach nawet podczas igrzysk olimpijskich w Calgary, nieporadnie się wybijał i lądował na buli. Zajmował ostatnie miejsce, ale kibice go uwielbiali. Eddie „The Eagle"

Rys. TOMASZ WIATER

Edwards był popularniejszy od zwycięzców. Działacze ze złości zgrzytali zębami, ale nic nie mogli poradzić, bo wystawiał go do zawodów Brytyjski Związek Narciarski. Kwalifikacje miały pozbawić możliwości startu nie tylko Eddiego, ale jego ewentualnych następców. I pozbawiły, ale jednocześnie sprawiły, że przed konkursami oglądamy idiotyczne kwalifikacje, które nie dostarczają kibicom żadnych emocji.

Rewolucję wprowadzili Norwegowie w swoim cyklu konkursów skoków Raw Air, który ma być konkurencją dla Turnieju Czterech Skoczni. Tam nie ma pustych przelotów. Kwalifikacje nazwano prologami i punktuje się każdy skok. Na pewno jest ciekawiej. Dla zawodników również, bo oprócz regulaminowych nagród należnych za udział w Pucharze Świata organizatorzy dodają jeszcze od siebie sporo gotówki. Skoki narciarskie, podobnie jak cały sport wyczynowy, obracają się wokół pieniędzy i tylko kibicom się wmawia, że zawodnicy fruwają na nartach przede wszystkim dla szlachetnych idei, wśród których patriotyzm wybija się na plan pierwszy.

Für Deutschland

Już niemal wszystkie dyscypliny sportu mają swoje puchary świata, bo to najlepszy sposób na przyciąganie uwagi kibiców, za nią idą telewizyjni nadawcy, a za nimi gruba kasa. Skoki narciarskie nigdy nie były i nie są do dziś popularne w wielu krajach, nie są też powszechnie uprawiane. Skacze się w Niemczech, Austrii, krajach nordyckich i Finlandii, Europie Środkowej, sporadycznie w Japonii, a przed agresją na Ukrainę uprawiano tę dyscyplinę w Rosji – jak jest dziś, nie wiem. Od pewnego czasu stały się bardzo popularne w Słowenii, chyba najbardziej usportowionym kraju na kuli ziemskiej.

Puchar Świata w Skokach Narciarskich to niemiecki wynalazek i zawsze dziwiłem się, że wywodzący się ze środowiska PiS prezydent Andrzej Duda tak ochoczo pojawia się na rozgrywanych w Polsce konkursach i ze szczerym, wręcz dziecięcym uśmiechem bije brawo.

Może nie wie, że wszystko zaczęło się od tego, że największa niemiecka komercyjna stacja telewizyjna RTL straciła prawa do transmitowania samochodowych wyścigów Formuły 1 i musiała poszukać czegoś, co znów będzie przyciągać reklamy.

Ktoś się zorientował, że pucharu świata nie ma jeszcze w skokach narciarskich, być może dlatego, że mają ograniczony zasięg. Ale miały też swoje atuty, wśród których dreszczyk niebezpieczeństwa, kochany przez kibiców, odgrywa sporą rolę. Fachowcy zabrali się do rzeczy i w sezonie 1979/1980 ruszył Puchar Świata, a stacja RTL zapewniła perfekcyjną transmisję. We władzach imprezy najwięcej do powiedzenia mieli oczywiście Niemcy, bo kto płaci, ten wymaga.

Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy, że pierwszy Puchar Świata zdobył Austriak Hubert Neuper, ale królami tej imprezy są Fin Matti Nykänen i Adam Małysz, czterokrotni jej triumfatorzy.

Wąsy prezesa

Małysz spowodował nie dość dokładnie chyba przebadane przez socjologów zjawisko małyszomanii. Polacy wprost oszaleli na punkcie niewysokiego chłopaka z Wisły. Wąsy zaczęto nosić nie tylko z okazji listopadowej akcji Movember zachęcającej mężczyzn do profilaktycznych badań prostaty. Polskiego turystę, prześmiewczo zwanego Januszem, zwykło się przedstawiać jako gościa z wąsami i w sandałach założonych na skarpetki.

Wiadomo, że sukcesy Adama Małysza przypadły na lata, gdy w Polsce kapitalizm wciąż jeszcze raczkował, w rozsypce było wszystko, a sport nie był wyjątkiem. Adam Małysz, który na skoczni nie dawał szans Austriakom, Niemcom czy Finom, pozwalał mieć nadzieję, że może być lepiej. Nie bez znaczenia był także bezpośredni sposób bycia mistrza skoków, który sprawiał, że można go było uznać za swojego, za kogoś znajomego, bliskiego. Jestem jednak przekonany, że to nie wszystko, dlatego apeluję do socjologów o pochylenie się nad tym tematem.

Po zakończeniu kariery Adam Małysz próbował sił w sporcie samochodowym, brał udział w przeróżnych akcjach, w których przydawała się jego niesamowita popularność, wreszcie wrócił do swojej dyscypliny jako działacz. Dziś jest prezesem Polskiego Związku Narciarskiego, a na tym stanowisku zmienił swojego dawnego trenera Apoloniusza Tajnera, zasiadającego w sejmie obecnej kadencji z ramienia Koalicji Obywatelskiej.

Różnię się od rodaków tym, że straciłem serce do skoków narciarskich, a polscy kibice nadal jeżdżą po Europie z biało-czerwonymi flagami, nie różnię się natomiast tym, że bardzo lubię Małysza, choć nie znam go osobiście. To naprawdę fajny gość, przesympatyczny i bardzo otwarty. Do jego działań w związku można mieć jednak pewne zastrzeżenia.

Podobnie jak jego poprzednik Apoloniusz Tajner, Małysz skupił się, co skądinąd zrozumiałe, na skokach, zaniedbując inne dyscypliny narciarskie. O narciarstwie alpejskim w ogóle nie ma co mówić. Do szeroko rozumianej światowej czołówki udało się przebić zakopiance Marynie Gąsienicy-Daniel, ale to jest jej i jej trenerów prywatna zabawa. Po zakończeniu kariery przez Justynę Kowalczyk upadły biegi, nie powstają nawet trasy do uprawiania tego sportu zawodniczo lub amatorsko. Kombinacja nordycka (norweska) staje się już sprawą wyłącznie nordycką. A snowboard?

Biegacze, zjeżdżacze i kombinatorzy

Panie Adamie! Kocham Pana, ale kochać będę jeszcze bardziej, gdy zwróci Pan uwagę, że narciarstwo nie zaczyna się i nie kończy na dyscyplinie, którą Pan uprawiał. Owszem, wiem, że robi Pan dużo nie tylko dla skoczków, ale i dla skoczkiń (to chyba poprawna forma nazwania zawodniczek skaczących na nartach), ale naprawdę można skierować chociaż ciut większy strumyczek pieniędzy, które związek ma z budżetu państwa i od sponsorów, na biegi i na zjazdy.

Te nieszczęsne skoczkinie dostały nowego trenera o uznanej w świecie marce. Austriak Harald Rodlauer trenował wcześniej włoskich kombinatorów (chodzi oczywiście o kombinację nordycką), a później kadrę austriackich skoczkiń. Ale z próżnego – jak mawiał Władysław Gomułka – i Salamon nie naleje. Mimo wieloletnich starań PZN nie ma młodych skoczkiń i skoczków. Męska kadra trzyma się jeszcze dzięki Kamilowi Stochowi, Dawidowi Kubackiemu i Piotrowi Żyle, którzy od lat startują, ale dziewczyny znane były bardziej z tego, że żarły się między sobą i z trenerami, niż z tego, że daleko skaczą.

Kamil Stoch to już, podobnie jak Małysz, instytucja. Trafił do czołówki akurat w momencie, gdy karierę kończył Adam. Rzadko się zdarza tak sprawna zmiana pokoleń. Żegnamy mistrza i witamy mistrza. Stoch skacze do dziś, dwukrotnie zdobywał Puchar Świata, trzykrotnie – złoty medal olimpijski (startował w igrzyskach pięć razy). Jest trzecim najbardziej utytułowanym polskim olimpijczykiem. Trzykrotnie zwyciężył też w Turnieju Czterech Skoczni i dwukrotnie w Raw Air. Jego żona Ewa Bilan króluje – podobnie jak Anna Lewandowska – w mediach społecznościowych i podobnie jak ona prowadzi mnóstwo pożytecznych akcji. Stoch miał wsparcie w Dawidzie Kubackim i Piotrze Żyle, którzy także potrafili wygrywać, a sporadycznie dołączali do nich Aleksander Zniszczoł i Paweł Wąsek. To się jednak rypnęło.

Już poprzedni sezon pokazał, że coś jest z naszymi skoczkami nie tak. Obecną zimę zaczęli fatalnie. Tak źle już dawno nie było. Sprawozdawcy telewizyjni z obowiązkowym optymizmem cieszą się teraz nie z wysokich miejsc, ale z tego, ilu Polakom w ogóle udało się dotrzeć do finałowej rozgrywki. Austriacki trener Thomas Thurnbichler szuka błędów i twierdzi, że jutro będzie lepiej…

Czy bardzo martwią mnie porażki skoczków? Oczywiście zawsze jest przykro, gdy nasi dostają po dupie. Na szczęście wyleczyłem się ze skoków już kilka lat temu z przyczyn, które opisałem wcześniej. To mi poprawia samopoczucie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl
Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 6.12.2023 r.**

eprasa.pl 098835538c

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Przyszli po niego minutę po szóstej rano. Przewracał się właśnie z lewego na prawy bok, gdy kontrterroryści z pomocą tarana dębowe drzwi wejściowe zamienili w drzazgi.

– Gleba, gleba, gleba! – wrzeszczeli ubrani na czarno ludzie, uzbrojeni po zęby.

Gleba? – chciał zapytać, co mają na myśli, ale zanim otworzył usta, leżał na podłodzie skuty kajdankami. Szlafmyca spadła mu z głowy, a koszula nocna była podkasana jak u jakiejś kurtyzany.

– Figurant zabezpieczony, teren czysty – powiedział jeden kontrterrorysta przez radiotelefon, a z głośnika odpowiedziały mu niezrozumiałe trzaski. – Brać go – dodał. Wyglądał na dowódcę.

Dwaj inni czarni poderwali go z podłogi i zaczęli wlec w stronę wyjścia.

Chciał o coś zapytać, ale zapomniał, o co. Może o żonę, a może o swoją zastępczynię…

– Płaskowyż – szepnął ni w pięć, ni w sześć i pół. Akurat tyle wynosi obecny poziom inflacji.

• • •

Ekologiczna żarówka LED-owa świeciła mu w oczy.

– Narodowy Bank Polski jest instytucją niezależną – odpowiedział na pytanie o nazwisko.

– Imię? – zapytał śledczy.

– Narodowy Bank Polski jest instytucją niezależną – odrzekł. Czytał w książkach wojennych, że tak powinni zachowywać się bohaterowie niezłomni. Z komiksów znał Supermana; gdyby nim był, laserowym wzrokiem unieszkodliwiłby śledczego, a potem uciekł na wolność. Ale nie był Supermanem.

– Kto powziął decyzję o poziomie referencyjnej stopy procentowej w styczniu dwa tysiące dwudziestego drugiego roku?

– Narodowy Bank Polski jest instytucją niezależną – odparł i pomyślał, że za ojczyznę gotów jest zginąć.

– Kurwa! – ryknął śledczy. – Albo będziesz odpowiadał na pytania, albo wezmę młotek i z palców u rąk zrobię ci nim powidła śliwkowe. Rozumiesz, sukinsynu?!

Więzień poczuł, jak się kurczy.

– Nazywam się Glapiński, mam na imię Adam, do wszystkiego się przyznaję – odpowiedział. – Do inflacji, do drożyzny, do partyjnego uzależnienia, do wszystkiego.

LED-owa żarówka zgasła. Glapiński zamrugał, bo łzy napłynęły mu do oczu. Usłyszał, jak najpierw przesłuchujący go człowiek, a potem inni obecni w celi zaczęli się śmiać.

– Jaki, kurwa, bohater! – rechotał śledczy, w którym prezes Glapiński rozpoznał byłego wiceministra Wąsika.

– Odważny był krócej, niż rządzi gabinet Pinokia – kpił były minister Mariusz Kamiński.

Pisowscy koledzy Glapińskiego śmiali się z niego, kpili i szydzili. Naprawdę sądził, że tak będzie wyglądało postawienie go przed Trybunałem Stanu? Jest więc większym durniem, niż myśleli…

– Jaki jest Narodowy Bank Polski? – zapytał Wąsik, skręcając się ze śmiechu. – Niezależny?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN narzeka na zimno. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** bezwstydnie nosi futro z norek, ale na szczęście depilowanych, więc wyglądają jak króliki.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wołk-Łaniewska: – Sztuka mi się przypomniała.

Senyszyn: – Znowu będziesz o teatrze gadać?

– Nie, tym razem o dramacie. Klasycznym. „Cyrano do Bergerac". Mam taki ukochany przekład, który znam prawie na pamięć od nastoletniości, kiedy byłam fanką Teatru Telewizji. Zrobiła go, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, Maria Konopnicka.

– I będziesz do mnie mówić wierszem?

– No niestety. Bo mi się fragment o wiatrakach przypomniał…

– Włączasz się w krytykę czy w obronę?

– Sama oceń. Cyrano kłóci się hrabią de Guiche. Tak naprawdę kłócą się o dupę, która zresztą żadnego z nich nie chce, bo leci na Christiana, ale rozmawiają metaforami…

– Jak to w dziewiętnastowiecznym dramacie.

– Ano. I hrabia przestrzega Cyrana przed losem Don Kichota: „Bo się czasem zdarza, że tego, co napadać na nie się odważa, wiatrak młyńcem swych ramion po żebrach pomaca – i porwawszy go w wiry napowietrznej jazdy, wbije w błotną kałużę".

– Bardzo na czasie.

– A Cyrano, mistrz ciętej riposty, odpowiada: „Lub unosi w gwiazdy". No i co będzie: odlot czy kałuża?

– Czarzaści unoszą się i bez wiatraków, bo widzą się na stołkach wojewodów, prezesów, członków zarządów… A ustawa już szkodzi, więc raczej kałuża. Choć intencje były dobre.

– Tak myślisz?

– Jak najbardziej. Nowa koalicja liczyła, że wiatraki w ustawie o zamrożeniu cen energii przejdą, bo Duda będzie się bał zawetować 16,5 miliarda dla ludu na tańszy prąd. Więc pomyśleli, że skoro nie idzie zliberalizować aborcji, to zliberalizują chociaż wiatraki.

– Wolność jest tak cenna, że musi być racjonowana…

– Ciekawa myśl.

– Przypisywana Leninowi w książce Webbów o radzieckim komunizmie. Sidney i Beatrice Webbowie byli, jak na pewno wiesz, założycielami London School of Economics. I generalnie lewakami, ale ten cytat brzmi, jakby wymyślili go obsesyjni antykomuniści, żeby pokazać przebiegłe zło komunizmu. Wracając do wiatraków…

– Liberalizacji nie będzie, bo pisowscy aferzyści zrobili z tego aferę, żeby przykryć swoje. Wiatraki mają pójść w osobnej ustawie, którą Duda z satysfakcją zawetuje.

– A może jest odwrotnie? Może Platforma napisała ustawę o zamrożeniu cen prądu, żeby pokazać ludowi, jaka jest dobra i troskliwa, ale wcale nie chciała, żeby ona weszła w życie, więc wrzuciła wiatraki, żeby Duda zawetował?

– To nowatorska teoria spiskowa…

– Uwielbiam teorie spiskowe. Wiesz, że Elvis żyje?

– I razem z Kulczykiem reperują słynną U.S. Route 66.

– Coś ty! W 66 to McCartney zginął w wypadku samochodowym i MI5 podstawiło sobowtóra. Ale à propos Elvisa: znasz dykteryjkę o Presleyu i Millerze?

– Glennie?

– Nie, Leszku. Pod koniec rządów SLD przy którychś tam negocjacjach europejskich Blair miał zapytać Millera: „Leszek, a ty ponoć masz dwanaście procent poparcia?". „Siedemnaście" – wycedził Miller przez zęby. „To u nas więcej ludzi wierzy, że Elvis żyje".

– A jeszcze więcej wierzyło, że bez Unii będzie im lepiej, i teraz plują sobie w brodę, że głosowali za brexitem. Na całym świecie głupich nie sieją, sami się rodzą. Włosi mają na to dowcipniejsze powiedzonko: „Matka głupich zawsze w ciąży".

– To jak nasza nowa minister kultury.

– Ta Chorosińska?

– Artystka dramatyczna znana z „M jak miłość". Oraz z tego, że jak sobie zrobiła czwarte dziecko z kochankiem, po czym wróciła do męża, to razem wystąpili w kampanii „Wierność jest sexy". Ministra Chorosińska wyznała kiedyś: „Kiedy nie jestem w ciąży, myślę sobie: tracę czas".

– No brawo!

– Chwalisz mnie za moją biegłość w życiu celebrytów?

– Nie, za użycie słowa „ministra".

– Ale wiesz, że to miało być obelżywe? O Gembickiej bym tak nie powiedziała.

– O, a czemu? Masz coś dobrego do powiedzenia o rządzie terminalnym?

– Żebyś wiedziała!

– Słucham z zadziwieniem.

– Otóż przelotna minister rolnictwa Anna Gembicka została moją bohaterką po tym, jak ogłosiła, że jej resort wystąpił przeciwko rządowi.

– Któremu?

– Temu, w którym jest ministrem. W środę w sejmie ogłosiła, że Ministerstwo Rolnictwa jest przeciwko wydzierżawieniu na 30 lat portu zbożowego w Gdyni, co PiS chciało zrobić do tego stopnia, że już rozstrzygnęło przetarg. A Gembicka wyszła na trybunę i zadeklarowała: „Będziemy robić wszystko, żeby do tego nie doszło, operatorem portu powinien być podmiot z udziałem większościowym skarbu państwa i jako Ministerstwo Rolnictwa takie oficjalne stanowisko wyraziliśmy". Ma kobita jaja.

– Tylko jedno, bo już w sprawie wiatraków proponuje biogazownie. Ale w polityce i półkastrat jest na wagę złota, bo większość jest całkiem wykastrowana z poglądów.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 277

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 098835538c